

RODZINA i DZIECKO

DOM i SZKOŁA

N. 3

ROK III

MARZEC

1938

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

T R E Ś Ć :

	Str.
Myśli Józefa Piłsudskiego	65
<i>Maria Zawodzińska</i> — Obozy letnie P. W. K. przygotowaniem do służby społecznej	66
<i>Stefania Szuchowa</i> — Współczesna matka	68
<i>Mgr. Józef Czarniecki</i> — Dziecko wywierające wpływ ujemny	72
ARTYKUŁY DYSKUSYJNE.	
Przeciążenie młodzieży licealnej	74
Matka i córka	78
Najważniejsze trudności wychowawcze	83
<i>Jadwiga Kopciowa</i> — Wiek przejściowy	85
<i>T. Wawrzyniecki</i> — O oszczędności	87
SPRAWOZDANIA I RECENZJE	88
Z PRASY POLSKIEJ	91
Z PRASY ZAGRANICZNEJ	93
Amerykański humor dziecięcy	95

RODZINA I DZIECKO

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

19 marca 1938 r.

MYŚLI JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO.

Gdy myślę o zadaniach, stojących przed Polską, chciałbym wnieść do Polski całą namiętność pracy, która by Polskę przeniknęła, dać umiejętność zorganizowania pracy sumiennej, umiejętność pracy uczciwej.

*

Chcę jednak w tym miejscu wykazać, że obok materialnych wysiłków niezbędna jest przy przewyciężaniu przeszkód i przy przechodzeniu przez krytyczne chwile: siła moralna! wiara w siebie. Bez tego niewiele zrobić można. — Bez tego przed każdą przeszkodą się cofniemy, a w każdym kryzysie się załamamy.

*

Powtarzam: trzeba mieć silną wolę i pewność siebie, — a przyszłość jaśniejszą będzie, niż smutne nieraz „dzisiaj”.

*

Służymy Ojczyźnie. A służba jest niczym innym, jak słuchaniem praw, przez ojczyznę, dla ojczyzny ustanowionych.

OBOZY LETNIE P. W. K. PRZYGOTOWANIEM DO SŁUŻBY SPOŁECZNEJ.

Uczennice wyższych klas szkoły średniej, mające za sobą minimum dwuletnią pracę w hufcu przysposobienia wojskowego kobiet, zorganizowane są w Drużyny Pracy Społecznej.

Drużyny Pracy Społecznej przysposobienia wojskowego kobiet do obrony kraju, mają realizować hasło pracy — hasło „podciągnięcia Polski wzwyż”. Przysposobienie wojskowe kobiet do obrony kraju, to nie tylko przygotowanie kobiet na wypadek wojny do pracy w wojskowych służbach pomocniczych, ale przygotowanie kobiety do służby społecznej na dziś — w imię najwyższych ideałów państwowych. Drużyny Pracy Społecznej mają być jednym z czynników przygotowujących dziewczęta do tej służby społecznej. Najważniejszą częścią programu zajęć Drużyn jest przygotowanie, a następnie udział w obozach Drużyn Pracy Społecznej.

I o tych obozach chcę powiedzieć w niniejszym artykule.

Program pracy dla obozu Drużyn Pracy Społecznej mówi: „W pracy... powinny dziewczęta zapoznać się z życiem i pracą wsi, oraz powinny przyjść z pomocą ludziom w okresie najintensywniejszych robót rolnych”. I to jest istotą obozu „zapoznać się z życiem i pracą wsi”, żeby młodzież, kiedy w przyszłości stanie u warsztatu pracy, — obok kwalifikacji zawodowych — lekarki, nauczycielki, pracownika samorządowego i in. znała Polskę we wszystkich przejawach życia; żeby przygotowanie zawodowe umiała dostosować do potrzeb i do możliwości; — żeby uczyła się w oparciu o życie, a ideały budowała na realnych podstawach. A do tego trzeba trzymać rękę na pulsie życia polskiego. Trzeba z plecakiem iść przez wieś — i zatrzymać się w chałupie — i spojrzeć na życie wsi przez pryzmat nędznej chałupy, strzechą krytej — przez pryzmat targów o człowieka, takiej czy innej ideologii. Wtedy nie będzie rozczarowań i zniechęcenia pracowników — i nie będzie ucieczki w świat kłamstwa, bo wiedza książkowa pójdzie równoległe z wiedzą o życiu.

Praca dziewcząt z obozu Drużyn obejmuje na wsi:

1) Opiekę nad dziećmi pozostawionymi w domu, wtedy, gdy dorośli zajęci są pracą w polu. Dla małych dzieci organizowano i prowadzono przedszkola, dla starszych świetlice pod kierunkiem fachowych przedszkolanek;

2) sekcję higieniczno-sanitarną — organizowaną i prowadzoną przez lekarkę obozową przy współudziale dziewcząt posiadających kursy sanitarno-ratownicze;

3) pracę kulturalno-oświatową.

Praca na obozie zorganizowana była w ten sposób, że część dziewcząt.

przydzielona była na stałe do świetlic, a część szła na wieś i „zaciągała się” do prac. Przy żniwach i przy zbieraniu konopi — w gospodarstwie i przy chorych. A przy okazji gawędziły. — A wieśniak z dużym zaufaniem do „panienek” z obozu opowiadał o wszystkich trudnościach. I że spółdzielnia jest deficytowa, bo brak ludzi, którzy by pokierowali robotą; — że doktor jest w miasteczku powiatowym odległym o 25 km od tej wioski; że gruntu mało; że nie ma żadnej organizacji — i wiele, wiele innych rzeczy. A dziewczęta mówiły, jakto jest u nich — mówiły o Polsce.

Tak wysunęło się szereg zagadnień, nad którymi dziewczęta zastanawiały się, a więc: zagadnienie mniejszości na kresach, kwestia opieki społecznej, wpływu inteligencji, zagadnienie zbytu wytwórczości wsi, organizacja spółdzielczości.

I jeszcze jedno — stosunek dziewcząt do pracy. Jedna z uczestniczek obozu pisze: „praca rolnika orzącego swój zagon, górnik w kopalni, murarza budującego „biały dom” — praca opiewana wielokrotnie przez znanych poetów, ma dla przeciętnego inteligenta swoisty urok, często jest nawet przedmiotem zachwyty, podziwu. Ale któż doszukuje się piękna i poezji w pracy praczki lub kucharki? Czy w kimkolwiek wzbudza zachwyty obieranie ziemniaków, szorowanie podłogi, pranie bielizny? A taką właśnie pracę fizyczną, tę nieefektywną, żmudną, błahą napozór — nauczyłyśmy się w Postołówce cenić i szanować. Uczyłyśmy się metodą najlepszą — próbując się same do tej pracy zabrać”. I to jest właśnie ważne, żeby nie poprzez poezję patrzeć na to, ale przez istotny trud i znoj. — Bo kto chce pisać o gimnastyce profilaktycznej dla wieśniaka, o tej dziesięciominutowce w czasie pracy, niech najprzód sam przynajmniej przez dwa miesiące popracuje na roli — a potem daje zbawcze rady.

A teraz jeśli chodzi o konkretną korzyść dla wsi — to właściwie mógłby o tym powiedzieć ktoś od „nich”. Bo miarą nie mogą być te łzy wylewane przy pożegnaniu „panienek”, przyrzeczenia korespondencji itd. Ale w każdym razie we wsi polskiej otoczonej wsiami zamieszkałymi w większości przez ludność ruską — trudno było porozumieć się z Polakami po polsku; pod koniec obozu, rozbrzmiewały pieśni polskie śpiewane przez młodzież i dzieci. W każdym razie zarówno na granicy wschodniej, jak i zachodniej wyszła „wieść prawdziwa o Polsce” naprzeciw propagandzie zagranicy — gdzie duchowny Niemiec mówi z ambozny „Niemcy są stworzeni do pracy i rządzenia, a Polacy do oszustw i kradzieży”.

A po ogniskach „nieraz widziało się łzy w oczach i nieklamane zdziwienie, nieraz słyszało się westchnienie: o jakież to ładne, nigdyśmy jeszcze tego nie widzieli” — pisze jedna z uczestniczek w wspomnieniach z obozu. No i może coś nie coś z rad i wskazówek i z pracy z dziedziny higieny zostało.

Ale za najważniejszy rezultat obozu uważam to — że troski wsi stały się troskami dziewcząt, i że patrząc na zdawałoby się miejscami beznadziejne warunki bytowania wsi — wyjechały z tym głębokim przekonaniem, że wiele da się zrobić „ino trzeba umieć chcieć”, że swoją zdobywczą wiedzę użyją na pracę by wspólnymi siłami przetworzyć życie.

Stefania Szuchowa.

WSPÓŁCZESNA MATKA

Gdzie się podziała najuniwersalniejsza z istot dawna kobieta domowa? Umiała być służącą, piastunką, krawcową, matką, nauczycielką, koleżanką w pracy mężczyzny...

Czy istnieje? I jak sobie radzi? Przybyło jej wiele zadań, ale może przyszły nowe moce i zdjęły ciężar z utrudzonych ramion.

Życie się zmienia. Jakże niedawno nurt pracy rwał poprzez dom własny, dziś skręcił i rwie poza domem. W ramach życia każdej z nas przebiegają procesy, którym podobne, dawniej, trwały lata całe.

„Żyjecie w cywilizacji zmiennej” — wołają do współczesnych socjologowie. Surowo ostrzegają ludzkość: Jeżeli nasza cywilizacja — mówią — ma uniknąć tragicznych katastrof, nowe pokolenia muszą być zdolne do świadomego kierowania ewolucją społeczną.

Słuchajcie, słuchajcie, można by powiedzieć do kobiet, bo to was także tyczy. Nurt życia jest mocny, a kobieta jest słabą istotą. Tym bardziej powinnyby zdać sobie sprawę — jak ona ma sobie radzić ze „świadomym kierowaniem” ewolucją społeczną. Czy tylko się do zmian przystosować, czy, co więcej, może współdziałać z nimi, opanować je.

Kobieta coraz mniej czasu poświęca domowi, a raczej coraz bardziej musi dzielić obowiązki domowe ze swym fachem, powołaniem, — a trud domu dzielić z instytucjami.

Już maleństwa przygarnia w fabryce żłobek, już o czterolatki upomina się przedszkole, starsze dzieci bezapelacyjnie zabiera szkoła, a wabi świetlica, obóz, kolonia..... Maluczko, a pod naporem życia potworzymy wspólne kuchnie w blokach spółdzielni mieszkaniowych i krąg domowej lampy nie ogarnie głów wszystkich domowników zebranych razem, choćby z tej jednej okazji.

Rządy, społeczeństwa, dyktatorzy walczą z tym prądem lub go popierają. Niemcy prowadzą olbrzymią propagandę za tradycyjną pozycją kobiety w społeczeństwie. Sowiety próbowały kobietę z obowiązków domo-

wych wyzwolić. Ale takie, czy inne będą rezultaty kosztownych masowych prób przyśpieszenia lub wstrzymania ewolucji, taki, czy inny będzie nasz osobisty stosunek do tych zagadnień, nowoczesna technika robi swoje: skróci, ułatwi pracę, a nowoczesna zdolność organizacji, kształcona usilnie w stowarzyszeniach, samorządach szkolnych, harcerstwie pobudzi nowe pokolenie kobiet do ekonomii wysiłków i wyzwoli wiele sił kobiety z zaczarowanego kręgu pracy domowej.

Co się wtedy stanie, że się tak wyrażę, z intymnym wpływem kobiety na kształtowanie życia idących pokoleń, na dzieciństwo c z ł o w i e k a. Czy siła tego cichego, ale po zsumowaniu olbrzymiego wpływu spadnie?

Gdyby bowiem, wydostając się na zewnątrz kręgu domowego, kobieta szła jak dawniej (tylko że liczniej) na stanowiska wychowawczyń, nauczycielek, dyrektorek szkół, internatów, lekarek, zwiększyłyby to raczej zakres jej wpływów i społecznej odpowiedzialności. Ale kobieta wyszedłszy z kręgu domowego, odchodzi nie tylko do przedszkoli, szkół, poradni psychologicznych, odchodzi także masowo do zawodów nie wspólnego nie mających z pracą nad dzieckiem i młodzieżą. Słuszna by więc mogła być obawa, że wobec powszechności i zasięgu tego zjawiska wpływ kobiety, rola kobiety, będą się raczej zmniejszały.

Co powinna kobieta współczesna przemyśleć, by sobie znaleźć miejsce w nowym układzie sił, by lepiej móc opanować wir i chaos, który zmagają, ale i wzbogacił jej życie.

Między innymi musi ona rozważnie i odważnie przemyśleć swój stosunek do instytucji, które z jej rąk samowładnych przejęły władzę i opiekę nad dzieckiem, musi rozstrzygnąć dylemat.. dom — instytucja.

W tę twierdzę - dom mocno biją fale życia. Twierdza ta jednak mocno stoi. I będzie stała jeszcze mocniej, jeżeli konserwatyzm nasz nie będzie uporem a świadomością trwałych wartości, jeśli nowe formy życia przepracujemy i uduchowimy... W gruncie rzeczy bowiem, jeżeli duch ludzki czuwa, można się nie bać tak bardzo ani nowych form życia, ani rewizji tradycji.

Ostatnie doświadczenia, czynione na terenie pracy społecznej w zakresie opieki nad dzieckiem, podnoszą wartość wychowania w rodzinie. Opiekunowie społeczni chętniej umieszczają dzieci bezdomne przy rodzinach niż w internatach. Dziecko wychodząc z internatu pozbawione jest wszelkich więzów z otoczeniem, zgubione jest w obcym żywiole. Sprawdzają się słowa prof. Schumana, że dopiero należąc do kogoś, kochając kogoś mamy swoje miejsce we Wszechświecie i w rzeczywistości. Rodzina jest jakgdyby mikrokosmem ludzkości i dlatego jest najlepszą szkołą życia.

Z eksperymentów sowieckich rodzina też wychodzi zwycięsko. Ale wszystko to — razem wzięte — zupełnie nie znaczy, abyśmy mogły trwać

spokojnie przy tradycyjnym wychowaniu i przychwalać je sobie w kółko. życie nam nie pozwoli. Musimy tak często dzielić trud wychowania z Instytucjami, że należy te sprawy przemyśleć. Niedopuszczalny jest bowiem bierny stosunek kobiet do tej sprawy.

Takie instytucje jak: żłobek, przedszkole, ogród jordanowski, świetlica powstają pod naporem istotnych potrzeb i sił i trzeba przyznać, umiejętnie wykorzystane, wspaniale pomagają rodzicom w czuwaniu nad wszechstronnym rozwojem dziecka. Ale zżywanie się z tymi instytucjami idzie zbyt wolno, jak na dzisiejsze tempo życia. Opór płynący z niewiedzy, z nieprzemyślenia obowiązków wychowujących i zadań instytucji szkodzi sprawie i paczy ją.

Dużo już bardzo myślano i pisano o współpracy domu i szkoły. Szkoła jest instytucją tak powszechną, tak zasymilowaną, że tutaj już myśl rodzicielska uczyniła duży wysiłek przepracowania zagadnienia. Dlatego pomnę tę sprawę, a poświęcę specjalną uwagę zagadnieniu przedszkola, zwłaszcza że przedszkole tak wczesnie odbiera dziecko matce. Tak wczesnie i w okresie, kiedy pielęgnacja staje się już mniej zabiegiem higienicznym, a zaczyna być współżyciem i pracą ducha kobiety.

Matki powiedzą: małe dziecko, tak jak ma własną mamę, powinno mieć własny dom i koniec. To prawda. Ale w każdym okresie rozwoju dziecko powinno mieć swój własny świat. Świat jak najbardziej sprzyjający rozkwitowi *wszystkich* możliwości, jakimi obdarzona jest ta ludzka istotka. Nowoczesne przedszkole jest takim własnym światem dziecka. Zostało zorganizowane według przemyśleń naprawdę dobrych i mądrych ludzi, ludzi za wszystkie matki obdarzonych intuicją potrzeb dziecka. Ci ludzie to Pestalozzi, Froebel, Montessori. Według ich wskazań zorganizowany dom dziecka rekompensuje braki współczesnej rodziny.

Czy można sobie wyobrazić rodzinę jako idealny teren rozwoju 4 — 5-0 letniego dziecka? Ależ tak, naturalnie! Ale proszę przyznać, jakże mało jest rodzin, w których duża gromadka rodzeństwa o niewielkiej różnicy wieku bawi się pod okiem matki mającej czas, nie śpieszącej się, nie zdenerwowanej..... bawi się, majstruje, śpiewa, korzysta z własnych kątów, wybiega do ogrodu, lub na dziedziniec, bierze udział w różnorodnych sprawach i pracach. Takich sielanek już prawie nie ma. W miejskim mieszkaniu dziecko jest samotne lub pozostawione służącej. Szukając swoich dróg dziecko przeszkadza, pytając — nudzi, chcąc działać — psoci, chcąc biegać — grozi wazonom, meblom i podłodze. Skarczone, snuje się po nudnym mieszkaniu, lub dusi w ciasnocie. Na dziecko w okresie jego najcudniejszych pierwszych odkryć i doznań nie ma się czasu — no i umiejętności. Russel mówi, że dzieci wzorowego angielskiego przedszkola są rosłe, wesole, uspołecznione, inteligentne i twórcze. Jakże często w cichych ścianach wyidealizowanego domu rodzinnego rosną nierad-

ne, smutne, rozpieszczone jedynaki, Bóg wie co o sobie myślące lub też najmłodsze kapryśniki, tyranizujące otoczenie. Jakże często w rodzinach ubogich dziecko, które mogłoby być zdrowe, wesołe, moralne, staje się zabiedzonym, niedorozwiniętym popychadłem, małym kryminalistą. A przecież tyle lat od deklaracji genewskiej upłynęło. Prawa dziecka do rozwoju osobowości są święte i musimy bronić, by nowoczesne życie nie gniotło tych praw.

Jak tedy po tych przykładach powinien być rozstrzygnięty dylemat: dom — instytucja. Przede wszystkim nie schematycznie a indywidualnie. Tutaj decydującym o wartości poczynań wychowawczych matki będzie nie spychanie i odstąpienie dziecka instytucji, a płynąca ze świadomego, pogłębionego zrozumienia zadań tych instytucji współpraca, współdziałanie. Każda kobieta mająca dziecko w wieku przedszkolnym powinna:

Zaznajomić się w pewnym zakresie z działem wiedzy, który dotyczy tego okresu rozwoju.

Ocenić warunki domowe własne z punktu widzenia potrzeb rozwojowych, które już rozumie.

Poznać przedszkole i przekonać się co jest warte, czy odpowiada tym potrzebom.

I wreszcie nawiązać kontakt z przedszkolem, jeśli mu dziecko powierzy.

W ten sposób matka wzmocni i pogłębi swój twórczy, świadomy udział w rozwoju własnego dziecka. Instytucja nie odbierze dziecku matce, ona pomoże jej rozwinąć je w pełni. Pomoże jej poznać własne dziecko, bo jeśli matka będzie się porozumiewać z wychowawczynią, dowie się o swoim dziecku rzeczy nowych i istotnych na nowym terenie zaobserwowanych.

Weźmy inny przykład: obóz harcerski. Czy gdyby każde dziecko żyło jak mały Rej z Nagłowic po polach i lasach, lub jak nieliczni chłopcy po wsiach na wakacjach, harcerstwo potrzebowałoby dawać ekwiwalent bujności, swobody, zżywania się z naturą? Czy potrzebowałoby kształcić w sprawnościach? Codzień zapalamy światło przekręcaniem guziczka, rozniecamy płomień dotknięciem zapalki do palnika gazowego. Może dlatego rozniecanie ogniska na wicherze ma taki urok. Dlatego wychowanie harcerskie nie może ograniczać się do wyrabiania karność, uczynności, odpowiedzialności. Olbrzymi wysiłek i tryumf wychowawczy harcerstwa płynie ze zrozumienia potrzeby kształcenia sił, które dążą do rozkwitu, a którym współczesne wielkomiejskie życie grozi zubożeniem i zatrutą.

I tu znowu świadomy stosunek do tych zagadnień, kontakt z drużynowym i zastępowym zwiększą wpływ matki na kształtowanie się osobowości dziecka. Cóż z tego że dziecko wybiega z domu na zbiórki, wyjeżd-

dża na obóz daleko i na długo. Dom własny będzie czekał, zawsze ten sam, jak przystań do której się wraca z przedszkola, ze szkoły, ze świetlicy, z uniwersytetu nawet. Ten dobry, mądry dom, który wiedział, co dziecku było trzeba i co trzeba będzie człowiekowi. Jeśli matka będzie czuwać, nigdy ten dom nie stanie się hotelem, nocującym tylko rozpierzchłych we dnie wędrowników... Nie trzeba będzie państwowej propagandy rodziny, ani państwowego przymusu oddawania dzieci instytucjom. Dla pomyslnego rozwoju społeczeństw wystarczy dobra wola matki, która głębiej rozumie swe zadanie.

Reasumując: świadomy i czynny stosunek współczesnej kobiety do usiłowań instytucji pomagających w wychowaniu, duchowe przepracowanie tego, co niesie nam nowa rzeczywistość, uczynią kobietę w większej mierze twórczynią życia nowych pokoleń. Ale jeśli będzie trwać biernie i bezwładnie w wirze życia, opierać się nowym formom lub je tylko po tępić — życie odrzuci ją napewno, zepchnie do roli automatu odrabiającego domową, biurową i fachową robotę na ślepo i na głucho. Żyjemy w cywilizacji zmiennej i tratującej tych, którzy nie mają siły myśli i ducha by jej prądowi podołać.

Mgr. Józef Czarnecki.

DZIECKO WYWIERAJĄCE WPLYW UJEMNY

Gdzie szukać źródła negatywnych oddziaływań jednych dzieci na drugie? Ani synek, ani córeczka nie zdradzą tak łatwo tajemnicy ujemnych wpływów, których doznali ze strony rówieśników lub dzieci starszych. Możemy natomiast zaobserwować niejednokrotnie pewne sytuacje, powiedzmy, źródłowe, w których powstaje destrukcyjne oddziaływanie jednego dziecka na drugie. Oto idzie ulicą handeles, który komicznym wyglądem rozśmiesza mimowoli przechodzących chłopców. Jeden z nich — prowodyr — ryknął handlarzowi w twarz. Nadał ton sytuacji, pociągnął za sobą kolegów. Powstaje zbiorowa akcja wyszydzania. Handeles klnie, szamoce się, chłopcy tym goręcej prą do ataku. Zanalizujmy to zdarzenie — jedno z wielu. Pewna podnieta, którą w tym wypadku jest śmieszny wygląd domokrąźcy, działa odrazu i jednocześnie na całą grupkę chłopców. Powstała wspólna reakcja, na razie ukryta. Proces postępuje dalej, gdy w zespole znajdzie się przywódca, jednostka energiczna, żądna uznania, ambitna, pragnąca odegrać ważną rolę. Prowodyr w lot urzęczywistnia nieświadome lub świadome dążenie do osiągnięcia znaczenia i organizuje akcję. Rówieśnikom to imponuje, chwalą, podziwiają wodza, wraz z tymi przeżyciami przenika do nich pierwiastek ujemnego wpływu, którym jest tu skłonność do wyszydzania i atakowania bezbronnych. Chcę zaakcentować, że destrukcyjne oddziaływanie jest niemal zawsze sprzężo-

ne z wartościowymi przeżyciami, jak w omawianym wypadku atak na handelesa łączy się z uznaniem dla autorytetu przywódcy. Samo uzasadnione poddawanie się zwierzchnictwu drugiej osoby jest cenne, potrzebne w życiu publicznym, coż kiedy w naszym przykładzie, wiąże się ściśle z niemoralnym ustosunkowaniem się do innej jednostki. Jeszcze jedną rzecz stwierdzimy, a mianowicie: negatywne oddziaływanie wpływowego dziecka odbywa się przy ścisłym poparciu grupek, zespołów, które właśnie wychowują prowodyrów, zboczeńców, buntowników. Są to najczęściej grupy dziecięce i młodociane, chociaż w wielu wypadkach da się zauważyć zorganizowaną akcję starszych, posługującą się niedorostkami w sposób nieetyczny. Np. niektórzy rodzice, najczęściej z tak zwanych środowisk proletariackich, polecają swym dzieciom śledzenie, szpiegowanie znajomych, krewnych, żebranie, wymuszanie datków itp.

Stwierdziliśmy, że dziecięcy wpływ ujemny wytwarza się zawsze w pewnym zespole, tj. ugrupowaniu; zwykle jednostka energiczna, przedsiębiorcza, wykorzystuje przychylnie nastawienie zespołu, w którym się znajduje. Urabia opinię, organizuje akcję destrukcyjną, pociąga za sobą młodociany tłum.

Oto jeszcze jeden przykład, ilustrujący fakt wyzyskiwania dużego ugrupowania dziecięcego dla własnych celów egoistycznych. Szybko rozwijające się dziewczę 12-letnie z kl. V pragnie za wszelką cenę zostać prezeską klasową. Robi kolegom i koleżankom różne obietnice: nie będzie nikogo zapisywać, na lekcji może być bałagan. Byle tylko mieć tytuł prezeski. Dążenie do osiągnięcia kierowniczego stanowiska płynie z dwu źródeł: z ambicji przodowania oraz z chęci wykorzystania czołowej pozycji w klasie dla własnych celów. Jedna osóbką 12-letnia zmontowała całą klasę różnymi obietnicami, sugestiami i oto zostaje prezeską. Teraz używa sobie. Od rodziców, średnio zamożnych, nie może wydobyć drobnych sum na cukierki, wstążeczki, lody, kino i inne tak zwane luksusy. Pożycza drobne sumy od dzieci ze swej klasy i innych oddziałów, jakże nie pożyczyc prezesce! Po kilku tygodniach tworzy się ogonek małych wierzycieli u wychowawcy klasy. Cała sprawa wyłazi, jak sztydło z worka. Na światło dzienne zjawiają się różne drobne wykroczenia prezeski, wyłudzenia pieniężne od rówieśników z innych szkół, ujemne wpływy na poszczególne dzieci i na całą klasę, która pod jej przodownictwem popadła w anarchię. Rodzice i szkoła o niczym nie wiedzieli, wszystko się bowiem działo poza kulisami klasy i oddziaływań nauczycielskich. Liczne negatywne wpływy jednych dzieci na drugie są dla nas niedostępne. Dlatego często nie wiemy, skąd nagle jakaś dzika zmiana u córeczki lub synka. Moim zdaniem, należałoby zwracać czujniejszą uwagę na dzieci wybijające się na plan pierwszy w kołach swych rówieśników i na jednostki trudniejsze do prowadzenia. Rodzice często się stykają z grupkami dziecięcymi u siebie w domu, na ulicy, na placu, w parku i innych miejscach. Mogą zwrócić uwagę na jednostki przodujące. Zaobserwują między in-

nymi zjawiskami również wpływy ujemne. Wtedy łatwiej zdadzą sobie sprawę z niekorzystnych właściwości własnego dziecka. Po nitce dojdą do kłębka negatywnego oddziaływania, któremu uległ ich synek, czy córka. Konieczne jest poznawanie sytuacji i zespołów, w których się dziecko wyżywało. Rodzice, jeśli chcą skutecznie wychować dzieci, muszą niejako tkwić w ich środowisku i w ich zdarzeniach. Dobrą rzeczą jest robienie kroniki dziecka. Notujemy fakty podstawowe, doniosłe wypadki. Np. niemowlę uległo potłuczeniu, doznało lekkiego wstrząsu tkanek mózgowych. Taką rzecz należy skrętnie szczegółowo zanotować z uwzględnieniem orzeczenia lekarskiego, gdyż później przyjdą napewno różne zaburzenia uczuciowe. Ni stąd, ni zowąd malec wpadnie w szal chwilowy i zdemoluje choćby mieszkanie. Niejednokrotnie bowiem nieletni wywierają wpływy ujemne dlatego, że przeszli we wczesnym dzieciństwie pewne zaburzenia, wstrząsy, wypadki pożaru, silne lęki, nieszczęścia rodzinne czy inne wydarzenia. Nieraz znowu mylnie tłumaczymy ujemne zjawiska, obserwowane u dziecka. Często powstają one właśnie na tle zaburzeń we wczesnym dzieciństwie.

A zatem musimy zwracać uwagę na dwa źródła wpływów negatywnych. Pierwsze — to środowisko, zespoły dziecięce, sytuacje, w jakich przebywa dziecko poza domem i w domu, drugie — to przykre wydarzenia, które przeżyło ono w latach najmłodszych.

Dzieci wpływowe, nadające ton, mają pewne charakterystyczne uzdolnienia. Łatwo nawiązują kontakt z rówieśnikami, interesują się nimi, zdradzają pewne skłonności do dyktatorskiego traktowania innych, w wielu wypadkach wprost sadystycznie ustosunkowują się do swego otoczenia. Wspomniana dziewczynka jest typem rozkazodawcy, nie znosi kompromisu, nie pójdzie na ustępstwa, musi postawić na swoim. Wpływy ujemne dziecka nieuległego są silne i skuteczne. Z tym faktem też należy się liczyć.

Jak pokonywać destrukcyjne oddziaływanie jednych dzieci na drugie? Oto sprawa do głębszego przemyślenia.

ARTYKUŁY DYSKUSYJNE.

Przeciążenie młodzieży licealnej.

*Od Redakcji: Dziękując Szanownym Autorom za żywe zainteresowanie się kwestią licealną, przepraszamy za dokonane skróty, do których zmusił nas brak miejsca. Dal-
szy ciąg uwag zamieścimy w następnym numerze.*

W artykule „Kilka uwag w sprawie przeciążenia młodzieży licealnej” (Nr. 2 „Rodziny i Dziecka”) Dr T. B. wymienia cały szereg przyczyn, które czynią program liceum i jego wykonanie ciężkim pocieszając nas, że są to trudności przemijające, związane z realizowaniem rzeczy nowej. Jako przyczyny tych trudności autor wymienia: brak podręczników do programu licealnego, brak

doświadczenia ze strony nauczycieli, niewdrożenie się uczniów do nowego typu pracy itp.

Artykuł jest skierowany do rodziców. Ale my rodzice obserwujemy tylko to j e d n o d z i e c k o, nasze, uczące się t e r a z; nie patrzymy w dal jak pedagog, jak inicjator nowych metod wychowawczych, dla którego przejściowe bolączki nowego systemu nauczania są rzeczą mało ważną, bo kiedyś, bo z czasem można będzie je usunąć. Rodzice nie mają dalekowzroczności, bo ich obchodzi chwila bieżąca, to co jest teraz, a wcale nie to, czy za lat kilka, kiedy się szkoła upora z „przemijającymi trudnościami” sytuacja się poprawi i innej młodzieży będzie się łatwiej uczyć.

Nas rodziców interesuje to, że dziecko zdolne, pilne nie może podołać, nie może sobie poradzić z pracą, łamie się, jego zainteresowania słabną, a system nerwowy wyniszcza się. A przecież obowiązkiem rodzicielskim jest dbać właśnie o to jedno nasze dziecko, kiedy rzeczą pedagoga jest patrzeć w dal i robić eksperymenty. W Nr 1 „Rodziny i Dziecka” czytamy, że dom rodzicielski to schron, gdzie człowiek musi mieć zapewnioną opiekę nad swoim indywidualnym rozwojem. Rodzice dbając przede wszystkim o swoje własne dziecko, nie są chyba złymi obywatelami z tego powodu.

*

Na początku roku klasa, w której jest moja córka (liceum humanistyczne), skarżyła się nie tyle na przemęczenie, co na wrażenie chaosu i zamieszania. Dziewczęta były zdezorientowane głównie przez to, że nie było podręczników, a nauczyciele nie mogli tego nastroju naprawić, gdyż sami nie czuli się pewni. Programy są ramowe, musieli się zdobywać na każdym odcinku na pracę samodzielną. Pod koniec I-go półroczia uczennice czuły się znacznie lepiej. Obecnie zazwyczaj znowu jęczeć, ale prawdopodobnie atmosfera karnawału zrobiła swoje. W liceum matem. fizycznym z początku roku dziewczęta nie narzekały, raczej teraz dopiero czują się zmęczone.

*

Największa bolączka liceum to s p r a w a l e k t u r. Np. była polecona lektura „Pamiętniki Paska”. A więc musiała przeczytać cała klasa, a mniej więcej i w innych szkołach w tym samym czasie. Nie ma przecież tego dzieła w tak wielu egzemplarzach i w księgarniach i w bibliotekach. A trzeba było przeczytać na termin, więc co robić. Rodzice to istne ofiary lektury licealnej, ciągle szukają książek, biegają po redakcjach czasopism, aby kupić gazety z przed iluś tam dni czy tygodni, w której był artykuł w związku z Zagadnieniami Współczesnego Życia. Starają się jak mogą, ale nie zawsze mogą wydużyć. Gdyby były tanie wydania, chętnie kupowałyby, bo przecież lektura nieprzeczytana uczy nieobowiązkowości, młodzież się denerwuje, wyklamuje.

W inteligentnych domach jeszcze jest trochę lepiej pod tym względem. Są książki, są encyklopedie, słowniki, gazety. W tych domach młodzież ma ułatwioną względnie naukę o Polsce Współczesnej, ale w domach o mniejszej kulturze, niezamożnych do tego, jest to dla młodzieży bardzo trudny przedmiot. Uczeń jest wtedy w bardzo trudnych warunkach, a nauczyciel jeszcze w trudniejszych. Demokratyczne rodziny nie mogą sobie wprost z tym poradzić. Dzieci ich nie mają materiału w domu, a poza domem zdobyć trudno. Są to nieraz dzieci ambitne, pilne. Taka sytuacja stwarza niemożliwie nerwowy nastrój w domu i w szkole. Wytwarza się demoralizacja, niespełniony obowiązek z k o n i e c z n o ś c i tym razem, a kiedy indziej będzie zlekceważony i bez potrzeby.

Młodzież potrzebuje podręczników i dodatkowych tanich wydawnictw.



Słowo, nazwa — posiada magiczną siłę. Obecna klasa pierwsza w gimnazjum, dawna trzecia, stała się malutkimi dziećmi, pieszczoszkami. Liceum znowu czyni dorosłą dawną siódmą klasę. Ale klasa licealna ma jednak dopiero 16 — 17 lat, to nie jest jeszcze młodzież uniwersytecka. I o tym trzeba młodzieży przypominać nie tyle słowami, ile stosowaniem odpowiednich metod. Wyższy stopień nauczania to jeszcze nie szkoła wyższa i dlatego nie można stosować tak raptownego przeskoku po gimnazjum, tak zasadniczej zmiany. W gimnazjum prowadzi się młodzież za rączkę, metodę nauczania cechuje nastawienie doświadczałne. Nieomal, że mówimy: czego nie widzisz, w to nie wierz. A w liceum odrazu nastawienie rozumowe, spekulatywne.

Ambicję młodzieży wprowadzić bardzo połącztało, że jest w wyższej szkole, ale to prawda, że w tej chwili w liceum „bezpieczeństwo ucznia zależy całkowicie od osobowości nauczyciela”. Nauczyciel młody, usamodzielniony przez ramowy program rewolucyjnie przystąpił do realizowania tegoż. Starsi, doświadczeni nauczyciele byli ostrożniejsi w podejściu; rozumieją bowiem, że między gimnazjum i liceum nie nastąpił taki przewrót w psychice młodzieży, aby tak odrazu, bez stopniowania można stosować inne metody. Nauczyciel doświadczony pyta często uczniów, o ile tylko mu czas pozwoli, kontroluje ich wiadomości, i młodzież na tym lepiej wychodzi, niż u nauczycieli stosujących system jak w wyższej szkole. Uczniowie bardzo cenią przywilej prawa korzystania z notatek podczas odpowiedzi.

Najważniejszą sprawą w pracy domowej jest to, żeby uczeń liceum nie odrabiał lekcji z dnia na dzień, żeby nie zabierał się do pisania referatu ostatniego dnia przed terminem. Tu rodzice mają dużą rolę do spełnienia. Nie trzeba się bać „dorosłości” młodzieży licealnej, należy wnikać w jej pracę, bo to jej nie obraża.

Bardzo mi trafia do przekonania uwaga Dr T. B., aby zachęcić młodzież do uczenia się w domu głośno. Nauczyciele stosują raczej *ustne* wypowiedzianie się niż piśmienne, chcą żeby chłopcy mówili, a oni wolą napisać referat, niż wypowiedzieć się ustnie.



Młodzież licealna podzieliła sobie przedmioty na ważne i nieważne. A więc np. w liceum mat. fizycznym przedmioty matematyka i fizyka są ważne, w humanistycznym — polski, historia itd. Inne przedmioty traktują lekceważąco. Jest w tym rozumowaniu wielki błąd, bo młodzież musi mieć ogólne wykształcenie, ogólną inteligencję, a nie specjalizację. Nie ma mowy jeszcze na tym poziomie o specjalizacji, wszystkiego uczyć się trzeba, a różnica w typach licealnych polega tylko na większym lub mniejszym zakresie danych przedmiotów. Dom musi zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa takiej przedwczesnej specjalizacji — trzeba rozumnie oddziaływać pod tym względem na młodzież, w której głowach brak subtelnych odróżnień w tej dziedzinie.

Każdy może mieć przedmioty mniej lub więcej interesujące dla siebie czy umiłowanie specjalne, ale zdolny uczeń nie może odrzucać jakiegoś przedmiotu np. fizyki w liceum humanistycznym, a historii w matemat. fizycznym. Przedmioty t.zw. mniej ważne w danym typie liceum stają się dla ucznia wcześniej wogóle nieważne. Młodzież chce sobie ulżyć i stwarza w sobie niechęć do wysiłku.

Ale znam uczniów, którzy mówią, że właśnie te przedmioty, na które nie kładzie się nacisku w danym typie liceum, stają się przyjemniejsze, są jakby odprężeniem w nauce.

Ważne jest to, czy nauczyciel liczy się z tym, że trzeba kłaść nierównomierny nacisk na przedmiot zależnie od typu liceum. Zdarza się, że zapalony historyk

jakoś nie potrafi odjąć prestige'u historii, jakkolwiek wyklada w liceum matematycznym czy przyrodniczym. Różnica polega nie tylko na ilości przerabianego materiału, ale na innym nastawieniu w nauczaniu, w samym podejściu do przedmiotu. Nic dziwnego, że w takich wypadkach młodzież broni się.

*

Dużo się mówi o „załamywaniu się” młodzieży licealnej z powodu przeciążenia. Na początku roku rzeczywiście młodzież zgubiła się głównie z powodu braku podręczników. Kiedy zastosowano niektóre podręczniki z kl. siódmej, nastąpiło pewne uspokojenie. Uczą się przeciętnie koło 3 godzin dziennie. Nie ma mowy o żadnym „załamaniu”. Nastrój zupełnie dobry, pogodny. Tańczą dużo, ożywienie taneczne większe niż innych lat, zabaw dużo.

*

Czy chłopcy są przepracowani? Nie. Dają sobie radę. W liceum matem. fizycznym pracy mają dużo, ale przemęczenia nie ma. W liceum przyrodniczym na ocenę półroczną było pięć dwójek na 43 uczniów. Największa bolączka to brak podręczników. A często to wprost niewiadomo co robić, kiedy nauczyciel źródła nie wskaże albo wskaże jakąś broszurę lub gazetę, której wcale dostać nie można. Należy jak najprędzej uporządkować sprawy podręczników. Młodzież skwapliwie nabyła podręczniki z kl. siódmej, ale i te się wyczerpały i dla wielu wogóle zabrakło. Jeżeli porównamy ilość pracy ucznia w liceum i w dawnej 7 kl., to nie ma wielkiej różnicy.

Chłopcy bardzo chętnie tworzą kółka naukowe, pochlebia im, że są w szkole wyższego typu. Rozdzielenie nauki w kierunku przyszłych zamiłowań wpływa bardzo korzystnie na chłopców, już się tworzą grupy przyszłych lekarzy, chemików itp.

*

Chciałbym poruszyć sprawę aktualną — niezadowolenie ucznia z wyboru typu liceum. Trzeba wiedzieć, że bardzo często wybór ten nie jest wcale spowodowany istotą zainteresowań i zdolności młodzieży. Drobne zupełnie fakty i okoliczności mogą nań wpływać, np. ulubiony profesor pociąga młodzież, inny nielubiany, mający opinię przeciążania uczniów — odstrasza. Nieraz nie dział nauki decyduje, ale człowiek. Matematyk jest nielubiany, więc chłopiec nie idzie do liceum matem. fizycznego, a potem żałuje.

W gimnazjach powinien być obecnie stosowany duży nacisk na badanie psychotechniczne, powinna być wytworzona wspólna akcja szkoły i rodziców. Przecież to sprawa ważna nie tylko dla rodziców, ale i dla społeczeństwa i dla państwa, aby młode pokolenie zajęło w przyszłości stanowiska zgodne ze swoimi zdolnościami i zamiłowaniem.

*

Za wielki minus uważam to, że licea nie były przygotowane do zajęć laboratoryjnych ze względu na słabe zaopatrzenie potrzeb odpowiednich wydziałów liceum. Wskutek tego klasy licealne w niektórych przedmiotach błądzą po omacku. Laboratoria w wielu szkołach powstają tylko dzięki składkom rodziców. Są szalone trudności przy wprowadzeniu praktycznych zajęć. W pracowniach chemicz. fizycznych brak zasadniczych przyrządów, a program wymaga doświadczeń. Czy w ten sposób mogą stać się klasy licealne przedsiönkiem do wyższych uczelni?

*

Jako wielki minus liceum uważam trudność ze strony nauczyciela w kontrolowaniu lektury młodzieży. W tych warunkach program licealny raczej

sprzyja rozleniwieniu młodzieży, niż jej przepracowaniu. Program jest obszerny, ale oparty głównie na lekturze, a nauczyciele nie mają możliwości skontrolować ucznia, czy rzeczywiście przeczytał wszystko polecone. Kontrola nie jest stosowana ściśle. Więc młodzież gorliwsza, która stara się rzeczywiście wszystko przeczytać, jest przepracowana, a inni nie przemęczają się. Tylko program z matematyki i fizyki jest duży, ale to już jest materiał, którego puścić nie można, bo zaraz powstaną luki.

Dyskusja w sprawie artykułu Ireny Gombrowicz „Matka i córka” w Nr. 2-im „Rodziny i Dziecka”.

Dialog matki z córką tak bezstronnie omawia zagadnienie jednej i drugiej strony, że doprawdy bardzo trudno stanąć tu po czyjejsz stronie. Sama jestem matką, mam córki i synów, zagadnienie konfliktu rodziców i dorosłych, wchodzących w życie dzieci jest dla mnie kwestią niezmiernie ważną. Rozszerzyłabym nawet konflikt między matką i córką na konflikt między rodzicami i dziećmi. Nieraz właśnie bywa odwrotnie, jak dowodzą osoby dialogu — syn jest bardziej rodzinny niż córka, ma z matką o wiele więcej wspólnego, to jest kwestia wspólnych upodobań, a wcale nie płci. Przytem obecne jednakowe kształcenie chłopca i dziewczyny też w niemalym stopniu zaciera te różnice; zawód, w którym często kobieta zdobywa więcej powodzenia od mężczyzny, również wpływa na poważne traktowanie przygotowywania się córki do tego zawodu.

Współzycie dobre i harmonijne z dorosłym dzieckiem wymaga dwóch warunków ze strony matki (i ojca również); widzieć *na czas* w dziecku dorosłego człowieka, szanować jego indywidualność, troszczyć się, ale w sposób subtelny, nie narzucający się, — a drugi warunek to mieć swoje zainteresowania, swoje życie. być osobowością, indywidualnością, być *przyjemną towarzyszką* młodych, która do wspólnego życia wnosi swoje walory. Młodość chętnie obcuje z taką *starszą osobą*. Nie ma mowy o poświęceniu. Tam, gdzie wymagamy poświęcenia, zaczyna się przymus, kończy się radość obcowania wzajemnie potrzebujących i rozumiejących się istot. Od młodych trudno jest zacząć wymagać w chwili, gdy dorosną, raczej trzeba grunt urabiać od małego dziecka, a więc przyzwyczajać dzieci wcześniej do obowiązku brania udziału w życiu rodziny. Zaczynać należy od wymagania ich pomocy w gospodarczych pracach domowych, od interesowania się budżetem rodziny, od odpowiedzialności za pewien odcinek życia domowego. U młodzieży dojrzewającej dobrze jest rozbudzić konieczność wyręczenia rodziców, opiekowania się nimi. No, a kwestia zaufania, potrzeba mówienia o sobie matce datuje się od tego okresu, kiedy dziecko chętnie mówiło o swoich przeżyciach, kiedy nieraz było nawet nużące. Czy matka wtedy umiała słuchać, czy umiała interesować się dziecinnymi sprawami swoich dzieci. Matka umiejąca żyć życiem swoich dzieci, z nimi „rosnąć, dojrzewać i dorastać”, a nie być tylko czułą, pełną tkliwości piastunką małego dziecka, będzie umiała żyć życiem dorosłych dzieci, będzie im miła zawsze. Ten kontakt trzeba umieć pielęgnować. Kto myśli, że w rodzinie uczucia są samorodne, samorzutne, myli się o tyle, że uczucie nie pielęgnowane, bywa zagłuszone przez chwasty innych uczuć. Pewno, że matka ma prawo domagać się opieki dzieci, jest to ich obowiązkiem, ale gdzie trzeba się *domagać*, tam kończy się słodycz i radość stosunków rodzinnych.



Słuchałem uważnie dialogu Pani Ireny Gombrowicz „Matka i Córka”, gdy na falach eteru rozchodził się po całej Polsce.

Dziś mam przed sobą lutowy numer „Rodziny i Dziecka”.

Wczuwam się w dość tragiczne położenie i matki i córki. Przyznam się, że moje sympatie są raz po stronie mamy, raz po stronie córki — i wcale nie dla zasady: „I Panu Bogu świeczka...”

Żal mi obu, bo wiem, że tej parze nawet najmądrzejsza rozmowa nie pomoże. Tragedia właściwa zaistniała przy zdobyciu tytułu „Matka”.

W dyskusji pragnę dotknąć tylko jednej z wielu przyczyn, czemu to rodzicom i dzieciom tak ciężko z sobą się „dogadać”.

...Gdy serca nasze obiecują sobie istny raj na ziemi — psychika nie jest dość przygotowana do zakładania gniazda.

Bezlitosna i naga rzeczywistość szybko obrywa z urojonego obrazu przepiękne otoczenie i wprowadza nas brutalnie do praktycznego życia.

W komórkach naszych stopniowo zaczynają zanikać wartości nabyte w szkołach i zupełnie nieświadomie na całym szeregu odcinków wchodzimy we wtórny analfabetyzm (analfabetyzmu nie należy ograniczać do czytania i pisania). I gdy my we wtórnym analfabetyzmie brniemy coraz mocniej — jednocześnie wzrastające dzieci z całą siłą wrażliwości młodego wieku wchłaniają nowe wartości.

Podkreślam: *nowe wartości*. Boć w naszych oczach świat zmienił się we wszystkich kierunkach. Zmiany te często były i są tak głębokie i skomplikowane, że nasze „przedwojenne” komórki już ich nie ogarniają, nie chwytają.

A tymczasem zawrotne tempo trwa i biegnie mimo nas — dystansując dwa pokolenia: rodziców i dzieci.

I tak rośnie chiński mur...

A cóż my — rodzice czynimy za wysiłki, by nie dać się zdystansować?

Czy staramy się poznać różnice i nowe zdobycze eugeniki, psychologii, nowoczesnych systemów wychowania?

Naprawdę nie — życie wciągnęło nas w wir walki o byt, żyjemy kapitałem zdobytym przed wojną, często żonglujemy — najczęściej spoczywamy na laurach.

I to ciągle obcowanie z swoim dzieckiem, potrzebującym pieczołowitej opieki — te troski i kłopoty przesłaniają nam prawdę — że dziecko powinno potrzebować coraz mniej opieki, że z dnia na dzień dorasta do zupełnej samodzielności.

Spółczeństwo patrzy codziennie na wszystkich i każdemu wyznacza c o d z i e ń inne odpowiednie do wieku miejsce. W tym układzie każde dziecko, a i dorosły człowiek wchodzi automatycznie w swoje prawa. A czy w przeciętnej rodzinie również ten układ z d n i a n a d z i e ń jest obserwowany?

W rodzinie inaczej i innym okiem patrzymy na dziecko swoje, rodziny i obce.

Nie dostrzegamy ani jego osobowości, ani dojrzewania, ani faktu, że na całym szeregu odcinków, na którym gnębi nas wtórny analfabetyzm, ono jest w pełni świadomości praw podanych przez naukę i jego życie! Mówię j e g o ż y c i e !

Jeżeli nie umiemy odtworzyć sobie w pamięci, że w wieku naszych dzieci burzyliśmy się za nieuznawanie w nas człowieka — stale dorastającego do samodzielności, to nie dziwny się zarzutom stawianym przez dzieci w dialogu Pani Gombrowicz.

Feliks Jabłoński.



Pani Gombrowicz w dyskusji swej „Matka i córka” ugodziła w bolączkę aktualną niestety chyba dla wszystkich matek i córek, w ten stały konflikt, między pragnącą usamodzielnienia w życiu córką, a przytrzymującą ją wszystkimi siłami (często wbrew własnym poglądom rozumowym) matkę, która chce nadal być koniecznym czynnikiem rządzącym i wyłącznie autorytatywnym w życiu córki. Niewątpliwie rozwinie się obszerna dyskusja nad tą kwestią, chciałam więc i ja dorzucić parę uwag.

Uderzyło mnie bardzo charakterystyczne powiedzenie w takich rozmowach, powiedzenie mające być wytłumaczeniem, a które wbrew swojej intencji wywołuje właśnie u młodego pokolenia najgorętszy sprzeciw i oburzenie: — „...to przecież chodzi o drobiazgi...” — łagodzi matka uniesienie córki.

Właśnie! O te „drobiazgi, z których składa się życie i one stwarzają taki czy inny nastrój”. Właśnie u młodzieży one najbardziej składają się na poczucie samodzielności lub niewoli. Czymże są *dla nas* owe gwałtowne wyrwania się „na swobodę” jak nie drobiazgami w rodzaju wyjścia bez opowiedzenia się, wydania pieniędzy bez zdania rachunku. Ale dla młodzieży to jest właśnie ważne, decydujące, najbardziej zasadnicze. To daje czar samodzielnego stanowienia o sobie, poczucie własnej dorosłości i... o to przychodzą tysiączne zadrażnienia, dające wrażenie, że wogóle jest źle. Bo najbardziej kochająca matka (może właśnie im bardziej kochająca...) nie chce za żadne skarby pozwolić sobie wydrzeć prawa ciągłego wnikania w najdrobniejsze sprawy życia córki, czyniąc to często zupełnie wbrew jej woli, bezskutecznie i z krzywdą dla obu. Chwyta się drobiazgów, nie mogąc osiągnąć zamkniętej nieraz głęboko treści i nie zdaje sobie sprawy, że w ten sposób oddala się tylko od córki.

Mądra matka musi właśnie umieć (choć nieraz wiele to kosztuje!) zrzekać się drobiazgów, jeśli chce, by w sprawach ważnych córka zwróciła się do niej. Musi dać jej to poczucie własnej niezależności, poszanowania jej spraw i zaufania, wtedy napewno częściej zwróci się do niej właśnie, czując w niej najpewniejszego przyjaciela, najbardziej życzliwą osobę.

Pewno, że trudno jest umieć wypracować w sobie takie opanowanie na drobiazgi i nakazać sobie nie pytać, gdy widzimy, jak córka usiłuje odgrodzić się od nas barykadą różnych „samodzielnich” kroków, ale czegoż nie umie i nie zechce przedsięwziąć matka dla miłości dziecka. Cała rzecz to umieć w porę uznać „dorosłość córki” (choćby wbrew sercu) tę „na codzień”, która przejawia się właśnie w drobiazgach. Umieć nie pytać, a czekać aż sama zacznie mówić. Wiemy, że wśród ludzi dorosłych jest tak samo, że nie pytany — częściej sam człowiek się zwierzy, a młodzież o wiele wrażliwszą łatwo zranić pytaniem zwiększając jeszcze jej skrytość.

Może takie celowe zamknięcie oczu na drobiazgi dla otrzymania całości jest manewrem, ale przecież ma na celu dobro obu — matki i córki, dlatego powinno być usprawiedliwione.

E. Lidke.

ARTYKUŁY W „RODZINIE I DZIECKU” SĄ ZAWSZE AKTUALNE
CENA ROCZNIKA 1937 (10 ZESZYTÓW) ZŁ. 5.



Czyja to wina, że takie właśnie dialogi toczą się niemal wszędzie, gdzie są w domu dorastające córki, a jeśli do wypowiedzenia podobnych słów nie dochodzi, to wiszą one, niby ciężka chmura, w atmosferze?

Bądźmy ze sobą szczerze, my matki, bo *nasza to właśnie wina*. Nie tego młodego pokolenia, że takie złe, takie zepsute, takie cyniczne. Przecież i my byliśmy młode, i również buntowałyśmy się, i pragnęłyśmy swobody i samodzielności, ale dziś, kiedy nasze córki dorastają, wolimy o tym nie pamiętać.

Ale są i inne, niemniej uciążliwe w pożyciu. Te, które się z młodością córki sze miały lepszą młodość, niż my? Może nieświadomie odpłacamy się naszym córkom za naszą stłumioną i skrępowaną młodość?

Bo i tak bywa. Znałam taką matkę, twardą niewiastę, surowo chowającą córkę, która w przystępie szczerości wygadała się z tym że: „przecież córka, to rywalka, to wróg utajony”...

Nie łudźmy się. Są takie matki, więcej ich jest niż mogłoby się nam здаwać. Tylko, że nawet same przed sobą do tego rodzaju uczuć się nie przyznają.

Ale są i inne, niemniej uciążliwe w pożyciu. Te, które się z młodością córki identyfikują, które chcą ją uszczęśliwić, ale koniecznie na swój sposób. Te, które cierpią na „kompleks niezbędności”, które wciąż rade by widzieć w córce małe bezradne dzieciątko, zdane całkowicie na ich opiekę.

Te biedne mamy, niewyżyte uczuciowo, rozporządzające nadmiarem czasu, lub wmawiające w siebie, że są tak bardzo zajęte! Te, które pustkę własnego życia zapełniają troską o dziecko, które żyją uczeplone uczuciowo do córek, zamęczając je na każdym kroku, zadręczając bez potrzeby siebie.

Gdyby od najmłodszych lat życia swego dziecka przywykły do myśli, że ono kiedyś będzie musiało odejść, że trzeba je będzie przekazać światu „aby innym z nim było dobrze i jemu było dobrze”, nie byłoby tylu konfliktów rodzinnych, tylu zbędnych tarć i uderzeń.

Matka, która to w porę zrozumiała, wie, że dziecko jej będzie rosło stokroć zdrowsze i szczęśliwsze, jeśli w niej znajdzie przyjaciela, żywego, twórczo się rozwijającego człowieka. I więcej wie, bo wie i to, że ta córka, która musi odejść w życie, gdyż takie jest życia prawo, kiedyś wróci do niej, jako wolny i dojrzały człowiek, wiedząc że znajdzie w niej, niekoniecznie pomoc i radę, ale zawsze serce najwierniejsze i najlepiej rozumiejące.

Jest jeszcze jedno niefortunne źródło konfliktów: kwestja ekonomiczna. Pokutuje niestety aż nadto często we wszystkich środowiskach liczenie na to, że się córkę „wyda za mąż”. Od córki nie wymaga się tak bezwzględnie samodzielności materialnej, jak od syna. Przyzwyczajają się ją do tego, że jest czymś wiecznie obdarzanym, wiecznie niesamodzielnym, i takie właśnie rozpieszczane i niesamodzielnie chowane córki najwięcej się oburzają, że matka, dając jakieś ponadbudżetowe sumy na jej osobiste wydatki, zapytuje: „na co ci to potrzebne”?

Córka, dążąca do prawdziwej samodzielności, nawykła do poszanowania pracy swojej i cudzej, będzie uważała za rzecz zupełnie naturalną, że ci, od których żąda poniesienia za siebie jakichś dodatkowych kosztów, chcą wiedzieć, na co łożą.

Jeśli sytuacja, opisana w dialogu matki z córką, powtarza się aż nadto często w zbyt wielu domach, jest ona prostą konsekwencją tego, że od córek samodzielności się nie wymaga, że poczucia odpowiedzialności nie wdraża się w nie dostatecznie, że rosną jako wieczne konsumentki, dziś pracy rodzicielskiej, jutro mężowskiej, a jeśli rodzi się w nich pęd do samodzielności, będący głosem

samego życia, nakazem dojrzewiania jednostki, to u nich wyradza się ów pęd w coś karykaturalnego, w samodzielną korzystającą tylko z praw, a nie znaczącą obowiązków.

A kto winien? Niestety, *winne są matki.*

J. B.



Matka nieraz wymaga od córki nie tylko współżycia pod względem uczuciowym, ale i wspólnego przebywania tak intensywnie, że to się nie da pogodzić z zajęciami i z upodobaniami córki. Ma ona (córka) jak najlepsze chęci, ale czasu nie starcza, żeby pogodzić i jedno i drugie. Może mówić gdzie idzie, święta razem spędzać, obiad razem spożywać, wiele uroczystości domowych według wzajemnej umowy obchodzić, ale nie może wiele czasu domowi poświęcić. Wszystko zależy zresztą od organizacji domu, bo co dom to na co innego kładzie się nacisk. To, nie jest tak, że kiedy młoda dziewczyna nie ma czasu na przebywanie dłużej w domu, to uważa ten dom za hotel. Do tego nie ma prawa. Ale żeby dom nie był hotelem, muszą się wszyscy domownicy do tego przyczynić, przykład idzie z góry. Młodzi muszą walczyć o samodzielne życie (nie tylko w znaczeniu materialnym) i dlatego trzeba zrozumieć, że co innego jest chęć zrzucenia z siebie obowiązków, a co innego dążenie do ułożenia sobie własnego życia na swój sposób, a nie tak, jak wymagają domowe zwyczaje. Dom musi zrozumieć, że są i inne sprawy, też ważne prócz domu i musi te sprawy brać na serio.

L. P.



Zgadzam się z córką, bo mi jest tak wygodniej. Dyskutowaliśmy w domu na ten temat. Racja jest po obu stronach, słuszne są i matki i córki argumenty, jednak nie wszystkie.

W domu powinno się mówić, kiedy się wraca i dokąd się idzie. U nas w domu prawo takie obowiązuje obie strony i rodziców i dzieci. A jeżeli się ktoś chce wyłamać, to dostaje wymyślanie.

Dalej sprawa pieniędzy. Uważam, że jeżeli córka choćby dorosła bierze pieniądze od rodziców, powinna powiedzieć na co. Bierze nie swoje, ale z ogólnych domowych. Gdyby miała swoje pieniądze, mogłaby nie mówić. Dwadzieścia złotych to jednak jest duża suma, gdyby prosiła np. o 50 groszy, mogłaby nie mówić na co.

Kwestii innego ustosunkowania się matki do córki i do syna nie mogę poruszać, bo nie mam brata.

W wielu domach jedyne marzenie matki, żeby córka wyszła za męża. Grunt — szukaj męża. Moja matka na szczęście pozostawia nam swobodę pod tym względem.

Moim zdaniem kuzynka Zosia zrobiła bardzo słusznie, że wyprowadziła się, bo jeżeli ludzie nie mogą sobie ułożyć wspólnego życia na co dzień, lepiej kiedy się rozejdą. Na odległość miłość będzie większa, bo nie będą jej zakłócały drobne sprzeczki.

H.



Bardzo ciekawy, bardzo głęboki artykuł p. Gombrowicz nasunął mi wiele do myślenia. Pośród całego bogactwa zagadnień poruszanych — dla mnie dominuje jedno: czy rodzice mają prawo interweniować w życie dorosłych córek, czy

mają prawo całe życie chcieć je przy sobie zatrzymać (oczywiście — jak słusznie mówi bohaterka dialogu — dopóki nie zerwie tej nici małżeństwo córki).

Ja sędzę, że jednak takie żądanie, takie domaganie się, aby dorosła kobieta całe życie trzymała się domu, przystosowywała swoje życie do życia rodziców, choćby jej zamiłowania i zainteresowania poszły po zupełnie innej linii, jest niesłuszne, niesprawiedliwe. Oczywiście rozumieją to tylko rodzice, którzy nie czekają na „odwdziężenie” się dzieci i nie żądają poświęcenia się młodych z kolei jako rewanżu za to, co dla ich wychowania zrobili. Bo kiedy matka czuwa nad chorym dzieckiem itd., to wcale nie jest poświęcenie. Dziecko ma prawo do uczucia matki, bo matka decydując się na macierzyństwo, tym samym bierze na siebie pełną odpowiedzialność za wychowanie dziecka.

Niech matka ma nową suknię, niech chodzi na wizyty, niech się nie starzeje przedwcześnie, niech nie będzie zrzędna, rozgoryczona, niech nie zatruwa życia swoim domownikom pesymistycznym ujmowaniem wszystkiego i wszystkich. Pozwoli to m ł o d y m i s t a r y m żyjącym pod jednym dachem na stworzenie w domu pogody, poczucia humoru. Jak najwięcej wspólnego życia, jak najwięcej równości między dorosłymi i młodzieżą! Oczywiście dobre współżycie dwóch pokoleń zależy od taktu obu stron, od „nieczepiania się wzajemnego”.

M.



Przyczyną nieporozumień między rodzicami i dziećmi może być między innymi różnica usposobień lub różnica upodobań. Chodzi o to, czy ten sam sposób życia odpowiada obu stronom.

Najważniejsze dla uniknięcia nieporozumień jest to, aby rodzice uznali, że inne sprawy, absorbujące dorosłe dzieci — poza domowymi — niekoniecznie muszą być zabawą. Trzeba je umieć brać n a s e r i o.

Jeżeli człowiek osiągnie stanowisko i znaczenie, ale w zupełnie innej dziedzinie niż jego otoczenie rodzinne, wtedy wszyscy podziwiają jego siłę woli, a w życiorysach takich ludzi często wymieniają, że mieli ciężkie warunki życia. A może córka, która się spóźnia na obiad, może ona właśnie już w tej chwili robi to wcale nie przez lekceważenie domu, ale porwana innymi sprawami, musi się do nich stosować. Nieraz może w drobiazgach zaznaczają się rysy silnej woli, kiedy musi zwalczać opinię domową. Do świetności stanowisk nie od razu się dochodzi. A w grucie rzeczy każdy dom zgadza się, żeby młodzież dużo pracowała, ale tylko w tym kierunku, który wytknął jej dom.

Z.



Matce daje się we znaki samotność... Ale gdy córka dorosła, to już za późno żądać, aby się wytworzyło wspólne życie. Kiedy zaczynają się stosunki dwóch dorosłych osób, mogą powstać i nowe konflikty. Rodzina to jednak przypadkowy dobór ludzi — człowiek sobie nie wybierał rodziny. A przecież nawet dobierając do swego charakteru kogoś — też trudno jest z nim prawdziwie harmonijnie współżyć.

R.

Na marginesie artykułu dr L. Goryńskiego p. t. „Najważniejsze trudności wychowawcze”.

— „Osobny rozdział można by teraz poświęcić wpływowi oddziałującym na dziecko poza rodziną” — pisze zupełnie słusznie p. dr L. Goryński w numerze 1-ym b. r. „Rodziny i Dziecka”. Wpływ środowiska pozaszkolnego, wpływ

kina, ulicy, teatru, lektury kształtuje w większej, niż na pozór mogłoby się zdawać mierze, charakter i sposób myślenia dziecka.

Jak dobrać dla dziecka odpowiednie środowisko pozaszkolne, rozrywki, lekturę — oto jedno z najważniejszych zagadnień wychowawczych, stojących przed rodzicami

W swej praktyce szkolnej spotkałem się z bardzo różnymi poglądami rodziców. Pamiętam jedną z matek, która twierdziła, że dziecko, a szczególnie dziewczynkę należy jak najdłużej otaczać „troskliwą” opieką, chronić od „złych wpływów” „zepsutego świata”.

„Troskliwa opieka” — była równoznaczna w tym wypadku z zupełnym pozbawieniem córki samodzielności. Matka wybierała córce książki z czytelnicy, matka decydowała arbitralnie, z którą z koleżanek wolno będzie się jej przyjaźnić itp.

Pomimo to pod poduszką córki można było nie raz znaleźć zakazaną książkę, rzeczywiście zupełnie nieodpowiednią dla dziewczynki w tym wieku.

Nie powinno to nas dziwić. Dążenie do samodzielności budzi się w dziecku dość wcześnie, a młodzież w wieku dojrzewania jest szczególnie wrażliwa na punkcie swej niezależności.

Suchy, bezwzględny rozkaz nie jest równoważny z głębokim wpływem wychowawczym. Zakazać czytania pewnych książek jest łatwo, osiągnąć jednak, by dziecko chętnie brało do ręki wskazaną przez nas książkę, by odłożyło tę, którą uważamy za nieodpowiednią — o wiele trudniej. To samo można powiedzieć o doborze rozrywek, kinie, teatrze itp.

Czyż należy wobec tego zostawić dziecko samo sobie? Wiemy jak ujemny wpływ wywierał na młodzież szkolną „Tajny detektyw”, lub brukowe książki, kupowane w zeszytach u ulicznych sprzedawców, jaką rolę spełniają sensacyjne filmy.

Z wpływu wychowawczego rezygnować nie możemy, powinniśmy jednak uświadomić sobie, że zakaz i nakaz nie rozwiążą bynajmniej zagadnienia odpowiedniego doboru rozrywek i lektury. Musimy umieć podsunąć dziecku odpowiednią lekturę i rozrywkę, któraby stworzyła ujście jego zamięłwaniami i popędem i skierowała je na właściwą drogę.

Nie można nigdy z góry ułożyć spisu odpowiednich zajęć dla każdego dziecka. Punktem wyjścia w ich doborze musi być dla nas przede wszystkim dziecko. Jego zainteresowania i upodobania wskażą nam drogę, pomogą zręcznie podsunąć odpowiednie zajęcia. A więc ruchliwego, pełnego życia chłopca skierujemy do szkolnego koła sportowego, gdzie znajdzie ujście dla swej nieokiełznanej energii. Zorganizowana gra w siatkówkę zastąpi niepotrzebne kułaki rozdawane kolegom, mecz międzyszkolny — brutalne walki podczas pauz. Dla innego dziecka bardziej będzie odpowiedni warsztat szkolny, gdzie będzie mógł realizować swoje projekty i plany, pracując nad modelem okrętu, samolotu itp. Chłopcu zaczytującemu się w przygodach detektywów — damy do ręki również niepozbawione sensacji i dramatycznego napięcia, ale jakże piękne książki Verne'a lub Umińskiego, które łatwiej i skuteczniej niż zakaz mogą wytrącać z jego rąk niepożądaną lekturę.

Należy przy tym wskazać na ogromną rolę, którą spełniają dobrze postawione świetlice, warsztaty i czytelnice przeznaczone dla młodzieży szkolnej i zaspakajające różnorodne skłonności i zamięłwania chłopców i dziewcząt. Szkoła — o ściśle nakreślonym z góry rozkładzie lekcyj, nie może dać dostatecznego ujścia samorzutnym zainteresowaniom młodzieży. Dom — nawet ten najmilszy i najukochańszy — nie wystarcza już rwącym się do samodzielnego życia młodym chłopcom i dziewczętom. Świetlica — miejsce zabawy i dobrowolnej pracy, czy-

telnia — w której dziecko ma możność samodzielnego wyboru książki — może jedynie spełnić to zadanie.

Powodzenie, jakim się cieszą organizowane przez Zarząd Miejski m. st. Warszawy biblioteki dziecięce, liczna frekwencja chłopców w klubach Y. M. C. A. — wskazują wyraźnie na potrzebę i znaczenie wychowawcze tych instytucyj.

Te kilka uwag, które nasunęły mi się podczas czytania artykułu „Najważniejsze trudności wychowawcze” nie wyczerpują oczywiście omawianego tematu. Poruszyłam tylko jedną stronę zagadnienia twierdząc, że w doborze lektury i zajęć pozaszkolnych młodzieży należy brać przede wszystkim pod uwagę jej zainteresowania. Jak jednak postępować, gdy chłopiec lub dziewczynka posiadają zbyt jednostronne zainteresowania? Co czynić, by mól książkowy, lub zapalony sportowiec nie stał się zbyt jednostronnym człowiekiem, jak rozbudzić inne zamiłowania? Oto są pytania, którebym chciała wysunąć do dyskusji.

Z. Charszewska.

WIEK PRZEJŚCIOWY.

Tereska wyrasta ze swych sukienek, nogi jej i ręce stają się za długie i niezręczne, na twarzy występują pryszcze, włosy się przethuszczają i w prostych kosmykach spadają na czoło.

Upodobania jej w jedzeniu uległy zmianie, przedtem lubiła słodczyce, a teraz przekłada potrawy ostre i kwaśne. Ćwikła, pikle, musztarda — to są dopiero przysmaki.

Odczuwa ból w krzyżu i omdlałość w nogach, w nocy źle sypia, raz jej zimno, to znów gorąco, okrywa się koldrą po uszy, a po chwili wstaje, by wypić szklanekę zimnej wody.

Przychodzą jej do głowy różne myśli. Dlaczego Hania śmiała się i coś szeptała na ucho Ali, gdy Tereska przechodziła przez korytarz powtarzająco podczas przerwy słówka łacińskie? Napewno o niej mówiły... Przecież zawsze Hania trzymała się z Tereską, skąd ta zmiana? Tereska ma wrażenie, że straciła najlepszą przyjaciółkę. Weiska twarz w poduszkę i płacze...

*

Iwonka idzie przez ulicę. Nowe palto nie posiada kieszeni, co zrobić z rękami? Jakże jej zawadzają! Spozstrzega kogoś znajomego, robi się z zażenowania purpurowa. Przyspiesza kroku, potyka się i upada, a wszyscy na nią patrzą i dziwią się jej niezdarkości.

— Bo to przez te wysłizgane boty. Nosić ich więcej nie będzie, musi mieć nowe, ma dość tych wstrętnych podarcichów, a i fartuch nie z żadnej alpagi tylko popielinowy, jaki noszą koleżanki — w innym do szkoły nie pójdzie.

*

Zuzia odczuwa coś bardzo dziwnego. Gdy światło zgasi z wieczora, doświadcza lęku, nie chce być sama. Ale to jeszcze nic. Najgorsze jest jedno. Zaczęła się kiedyś zastanawiać, ile razy mruga oczami na minutę i obliczyła — tak z nudów, a potem strzeliło jej do głowy sprawdzić, jak często lykła ślinę. Ale gdy tylko o tym pomyślała, uczuła potrzebę ciągłego lykania. Ten skurecz mięśnia powtarza się i bardzo ją męczy...

*

Cechna czyta książkę.

— Jakaż nudna jest ta lektura obowiązująca! wołę książki własnego wyboru... mamusia właśnie wyszła z domu i zapomniała zamknąć bibliotekę, jest tam tyle rzeczy ciekawych lecz zakazanych... a może skorzystać, że jest sama i zatelefonuje do profesora historii, nie odezwie się, tylko posłyszysz jego głos... wczoraj na lekcji był taki smutny, może chory... Mieszka na Placu Narutowicza, nie trudno znaleźć numer... Ale... musi się zmierzyć, nie wolno jej mieć więcej ni:

60 cm. w pasie, inaczej nie mogłaby przecież zostać gwiazdą filmową...

Cechna otwiera zeszyt, z którego wypadają fotki: Danielle Darieux, Claudette Colbert, Clark Gable i inne. Specjalnie kupuje takie tabliczki czekolady, do których dodają zdjęcia. Ma już wcale ładny zbiór i wymienia z koleżankami...

*

Irka z Zosią rozmawiają podczas paauzy.

— Wiesz — mówi Irka — mnie nie wystarcza takie szare życie, dzień jeden do drugiego podobny jak krople deszczu, chciałabym zaznać czegoś niezwykłego.

— Znudziła ci się ta monotonia, prawda?

— O tak, aż mnie w gardle dławi, może nie powinnam tak mówić, ale chcę bodaj cierpieć niż pogrzązać się w codzienności... „lepiej żyć krótko jak płomień niż trwać wiek jak kamień lub bagnisko”, słyszałam, że pod wpływem wachania eteru można się przenieść w zaświaty, apteka w naszej szkole zamknięta, ale wiem, gdzie się klucz znajduje, może by spróbować? która pierwsza, ja czy ty, jeżeli ja, to opowiem ci po przebudzeniu wszystko, co widziałam, a może obie razem?

— Co ci w głowie? ja myślę o czym innym, w tym roku nie byłaś na obozie z powodu tej operacji migdałów, a żałuj, robiłyśmy tam sprawność. Trzy pióra. Przez 24 godziny trzeba się było ukrywać, milczeć i nie przyjmować posiłku, strasznie mi się to podobało! Żywiłam się korzonkami i jagodami, popijając wodę ze strumienia, kryć się musiałam za najmniejszy szmerem, by nie zdradzić swej obecności; wałęsałam się tak dzień cały po lesie, wyobrażając sobie, że jestem Robinsonem i myślałam, czy znalazłabym wodę, gdyby mnie zostawiono bez pomocy i opieki.

— Ach! jak to cudownie być samą w lesie, gdy nadciąga burza... aż mnie przechodzi mrowie, ta walka z żywiołem, łamią się od wichru gałęzie drzew, ziemia drży...

— Uspokój się Irko, gotowaś impro-

wizować, pomyślę doprawdy, żeś egzaltowana...

— A wiesz... mój brat starszy nazywa mnie zawsze „backfisch”.

— Co to znaczy?

— To takiego coś ni z pierza ni z mięsa.

*

Przed rozpoczęciem zebrania patronatu klasy III-ciej rozmawiają matki.

— Tereska ma trudności w nauce, nie było tego dotąd, gdyż jest naogół zdolna.

— Iwonka zrobiła się dziwnie drażliwa, nie chce wysłuchać żadnej uwagi.

— Zuzia źle sypia, najmniejszy szmer ją budzi.

— Cechna pragnie zostać gwiazdą filmową.

— Moją Zosię opanowała pasja przeżywania, doświadczenia, szukania, mam zamiar w tym roku znów wysłać ją na obóz, znajdzie tam najlepsze ujęcie dla swych tłumionych energii...

— I moją Irkę chyba wyślę także, może się wyleczy ze swej egzaltacji.

*

Wiek przejściowy możnaby nazwać „Sturm und Drang-Periode”.

W tym okresie dokonuje się w młodości poważny przewrót fizjologiczny, a towarzyszą mu wielkie zmiany psychiczne. Nie pozostaje to obojętne dla zdrowia i zdolności przyswajania.

Pożądaną jest, by w szkołach w czasie pokwitania w sposób szczególny strzeżono od przeciążania pracą umysłową, zarówno jak od zbyt forsownych ćwiczeń fizycznych.

Dom ze swej strony winien łagodnie i pobłażliwie odnosić się do wszelkich wybryków, które w przyszłości ulegną przeobrażeniu.

Gdy mowa o dziewczętach, to odczuwają one w tym czasie potrzebę serdeczności i zrozumienia. Przestają być dziećmi. Chętnie bawiłyby się jeszcze lalką, a jednocześnie pociągga je życie.

Niezbędny tu jest jednolity i konsekwentny kierunek wychowawczy, pouczenie, upomnienie, ostrzeżenie bez nud-

nego moralizowania. Wiele zależy od właściwego podejścia. I nie ma tu żadnej teorii, trzeba indywidualizować. Drobną niezręczność, która w innym czasie przeszłaby niepostrzeżenie — może zadrażnić i zniechęcić. Wnikliwa obserwacja dziecka i subtelne odczucie doj-

rzewającej istoty może naprowadzić na właściwą metodę, która w każdym poszczególnym wypadku jest inna, zależna od właściwości obiektu i jego psychologicznej sylwetki.

Jadwiga Kopciowa.

O oszczędności.

Artykuł w Nr. 2-im „Rodziny i Dziecka” p. t. „Oszczędność” moim zdaniem był bardzo potrzebny w czasopiśmie przeznaczonym dla rodziców. Jeżeli na jego łamach są poruszane zagadnienia wychowawcze i społeczne, to wśród nich kwestia wychowania młodego pokolenia na oszczędnych i zapobiegliwych obywateli musi być kwestią pierwszorzędną wagi.

Nie wystarczy, aby zagadnienia tak ważne w tej chwili dla Polski jak sprawy gospodarczo-ekonomiczne były organizowane i realizowane przez społeczeństwo dorosłych. Każda ewolucja i rewolucja, zarówno w pojęciach jak i czynach obywateli, będzie miała pewne podstawy do przetrwania swych twórców tylko wtedy, o ile społeczeństwo potrafi wychować młodzież w tym duchu, aby kontynuowała dzieło pokolenia, które już odejdzie. Inaczej najpoważniejsza przemiana w społeczeństwie stanie się tylko zjawiskiem przejściowym.

Polak jest znany z szerokiego gestu; uczestnicy obecnie tak często organizowanych kongresów międzynarodowych mogą się z łatwością przekonać o tym. Spotykamy tam Anglików, Francuzów i przedstawicieli wielu innych narodowości; wiemy dobrze, że są to narody o wiele zamożniejsze od nas. Jednak we współżyciu towarzyskim i koleżeńskim podczas kongresów mamy świetną okazję porównania naszej *hojności, rozrzutności* z oszczędnością daleko idącą delegatów tamtych narodów. Są wprost zdumieni, że my tak wszystko ofiarujemy za darmo i tak często zupełnie bez zastanowienia rzucamy pieniędzmi.

Oszczędności trudno nauczyć człowieka dorosłego, trzeba do niej przyzwyczaić dziecko przez przykład, przez zachętę, przez wykazanie dobrych stron powściągliwości i opanowania w wydawaniu pieniędzy.

W szkołach uważam za bardzo celowe pod tym względem zorganizowanie Szkolnych Kas Oszczędności (S. K. O.). Akcja ta jest przeprowadzana przez Poczтовую Kasę Oszczędności i w chwili obecnej istnieje już około 13.000 Szkolnych Kas Oszczędności, opartych o P. K. O. Grupują one ponad 1.000.000 młodych członków. Cyfry mówią za siebie.

Szanowna Autorka zbyt surowo krytykuje system ich prowadzenia, jako zbyt skomplikowany. Jednak nie jest podstawą wychowania ułatwianie młodzieży wszystkiego, właśnie przygotowanie do życia polega na tym, żeby sobie umieć poradzić w trudniejszej sytuacji. Niech uczeń bierze czynny udział w sprawach, które są *jego* sprawami i jego klasy — niech zapozna się z podstawami prawidłowej rachunkowości, z którą nieraz w przyszłości się spotka. Zresztą „wypełnianie arkuszy” jest koniecznością wcale nie absorbującą nadmiernie.

Jeżeli chodzi o obchody Dnia Oszczędności, to niestety Autorka ma słuszość. Są w tym braki i niedociągnięcia. Ale nie bądźmy pesymistami. P. K. O. chętnie przyjdzie nam z pomocą. Jeżeli Patronaty Rodzicielskie zain-

teresują się tą sprawą, napewno i Dyrekcje szkół będą miały ułatwione zorganizowanie uroczystości, bo *uroczystością* powinien być dla szkoły dobrze zorganizowany Dzień Oszczędności. Naturalnie nie można ograniczać się do odczytywania suchych zestawień liczbowych albo wygłaszania frazesów, ale wszyscy przyznamy, że oszczędność jest zagadnieniem tak poważnym w dzisiejszym ciężkim życiu każdej rodziny, że byle poparty życiowymi faktami, uaktualniony prawdziwą obserwacją, odpowiednio naświetlony — temat na pewno nie tylko nie będzie nużył, ale stanie się prawdziwie interesującym.

Dlaczego nie przytoczyć np. takich faktów? Państwo S. mają syna w 7-jej klasie. W domu się nie przelewa, trudno związać koniec z końcem, ale rodzice bardzo kochają chłopca i chcieliby mu nieba przychylić. Chłopak daje korepetycje, uczy się dobrze, jest koleżeński, jest *sercem* klasy. Na wiosnę wychowawca ogłasza wycieczkę całej klasy na Górny Śląsk. Uczniowie zachwyceń. Chłopiec przychodzi do domu i mówi o tym rodzicom i że on i kilku kolegów wzięli na siebie opracowanie referatu informującego o tym terenie Polski. Ojciec — człowiek kulturalny, rozumny całkowicie docenia ważność, konieczność takiej wycieczki, ale smutek głós mu łamie, kiedy z bólem oświadcza: „Przykro mi, ale ty, synu, nie pojedziesz, nie stać nas na taki wydatek”. Staś rozpromieniony, że może uspokoić żal ojca, odpowiada: „Tatku, nie martw się, ja cały rok wpłacałem co miesiąc do S. K. O. kilka złotych z korepetycji i już mam teraz akurat sumę, jaka jest potrzebna na wycieczkę”. Trudno opisać nastrój i siłę tego głębokiego przeżycia między ojcem i synem. Takich i podobnych historyj jest dużo w każdym zespole młodzieży i w każdym zespole rodziców. Starczy ich, aby ożywić i podsyć ciepłem rzeczywistości wyżej wspomniane obchody w szkołach. Tylko pozwólmy młodzieży być samodzielnymi. Tylko wciągnijmy rodziców do tej pracy, zostawmy i im inicjatywę. Bo jeżeli przyjdą zaproszeni, by w pokorze wysłuchać wszystko, co się mówi, a sami nie będą brali udziału w organizowaniu, to prawdopodobnie powiększą tylko nudę ogólną.

Dalej autorka pisze „normalnie uczeń może zaoszczędzić tylko to, co dostaje od rodziców”. Tak jest w domach inteligentkich, ale weźmy szkoły powszechne po wsiach, w małych miasteczkach. Działwa uboga pragnie mieć książeczki P. K. O., ale nie ma skąd wziąć nawet kilku groszy na wpłatę. Pragnienie posiadania zaoszczędzonej sumki staje się w jej życiu pobudką do zarobkowania, podnieca inicjatywę, wyrabia samodzielność. Naprzykład na Polesiu dzieci szkół powszechnych wyplatają koszyki, gdzie indziej zbierają jagody (i to nie w drobnych ilościach, ale nawet na tak wielką skalę, że jagody te są eksportowane nawet zagranicę).

Stuprocentowo zgadzam się z autorką, że oszczędność „musi wejść w krew polskiego dziecka” i jestem pewny, że ścisła współpraca nauczycielstwa z rodzicami, oparta o wydatną pomoc ze strony P. K. O. zapewni akcji szerzenia uświadczenia oszczędnościowego młodzieży jak najpiękniejsze rezultaty.

T. Wawrzyniecki.

SPRAWOZDANIE

Komitetu Rodzicielskiego przy Państwowym Gimnazjum im. Tomasza Zana w Mołodecznie.

Współpraca władz szkolnych z Komitetem Rodzicielskim na terenie Mołodeczna, zapoczątkowana od bardzo niedawna, wydała już ładne rezultaty, znajdujące może najlepszy wyraz w urzędzeniu staraniem Pań Komitetu Rodzicielskiego i z inicjatywy Rady Pedagogicznej — tradycyjnego „Opłatka”.

Dnia 18 grudnia zebrała się młodzież oraz zaproszeni goście, przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych oraz rodzice.

Uroczystość zaszczytliwi swą obecnością Wizytatorka, pani Jadwiga Michałowska oraz Wizytator Okręgu Wileńskiego, pan Edward Rzeszowski, będący wówczas na wizytacji w Mołodecznie.

„Opłatek” zagaił pięknym przemówieniem p. dyr. Antoszczuk, następnie przedstawiciele organizacji szkolnych i wójtowie klasowi w serdecznych słowach wyrazili swe życzenia przełożonym i miłym gościom, poczem wszyscy zasiedli do skromnej wieczerzy.

Można powiedzieć, że młodzież w miłej atmosferze rodzinnej spędziła kilka godzin — wznawiając po raz pierwszy — tutaj na kresach, tradycję polskiej wigilii. Śpiewaniem kolend przy choince zakończyła się wigilia. Z prawdziwym żalem opuszczała młodzież uroczyste zebranie, unosząc ze sobą miłe wrażenia i wspomnienia tej serdeczności, jaką wniósł „dom” w mury szkolne. Sądzę, że ta z pełnym powodzeniem zapoczątkowana praca nie powinna być zaniechana, zwłaszcza u nas na kresach, a rodzicom powinna dodać bodźca do dalszej współpracy we wszystkich możliwych kierunkach na terenie szkoły. Praca ta przyniesie nie tylko zadowolenie z wypełnionych obowiązków, lecz pozwoli nam lepiej zrozumieć palącą kwestię współpracy w wychowaniu młodzieży.

Z uznaniem trzeba podkreślić, że młodzież tutejszego gimnazjum bierze czynny udział w pracach społecznych.

Oto piękny przykład:

W dniu Imienin Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, Samorząd Uczniowski ufundował 8 bibliotek wędrownych dla pobliskich szkół powszechnych — jako dowód czci dla Zwierzchnika Państwa.

Czyn godny naśladowania.

LEKTURA DLA RODZICÓW.

Trudny wiek dziewcząt (12 — 13 lat). Trudny wiek chłopców (od 12 do 14 lat). Dorastające dziewczęta (14 — 17 lat). Opracowano w Instytucie Higieny Psychiczej. Skład Główny tamże, ul. Puławska 91, tel. 4.15-19. Cena każdej książeczki 30 gr.

Ukazały się trzy dalsze książeczki Instytutu Higieny Psychiczej, dotyczące zagadnień wychowawczych, specjalnie doniosłych dla rodziców, którzy mają dzieci w wieku szkolnym.

Dziewczęta w „trudnym” wieku stają się drażliwe, niezośne, nieposłuszne, zaniedbują się w nauce, rodzice zaś zamiast zrozumieć przyczyny tych zmian związanych z przewrotem, odbywającym się w ustroju fizycznym dziecka, często jeszcze zaostrzają ich przebieg nieodpowiednim postępowaniem.

Książeczka wyjaśnia przebieg tego procesu i w prostych wskazaniach poucza jak należy postępować i czego unikać, aby duszy dziecka nie wypaczyć. Omawiane są tu i kwestie uświadomienia, i zagadnienie przekory, właściwej temu wiekowi, i wszystkie najpospoliej popełniane przez rodziców błędy wychowawcze, których fatalnych skutków nie uświadamiają sobie przeważnie wcale.

Analogiczne zagadnienia i sytuacje omawia druga książeczka w stosunku do trudnego wieku chłopców. I tu podane są najprostsze, najbardziej zasadnicze wytyczne, co czynić, a czego się wystrzegać. Zasady najważniejsze podkreślone są specjalnie

grubym drukiem, łatwo wpadającym w oczy. Jest to rodzaj katechizmu rodzicielskiego, który oby sobie największa liczba ojców i matek zecheiała dobrze przyswoić.

Wobec ostatnio drukowanej w Nr. 2 niniejszego pisma pogadanki „Matka i córka”, trzecia książeczka staje się dla naszych czytelników specjalnie aktualna. Tam wprawdzie była mowa o córce dorosłej, tu o dorastającej, ale różnica w gruncie rzeczy niewielka. Są przecież matki, które swoje czterdziestoletnie córki traktują jak wieczne dzieci, a trzeba dodać, że te z kolei odplacają tym samym z nawiązką swoim córkom, jak to ilustruje jeden z przykładów, podanych w tej książeczce.

Wskazania, zawarte w tych trzech książeczkach, są najelementarniejszymi wskazaniami, jakie daje psychologia wychowawcza na zasadzie olbrzymiej praktyki poradnianej, głębokiej wiedzy i zbiorowego doświadczenia. Znać je powinien każdy, a przecież jest rzeczą niewątpliwą, że duża większość rodziców, nawet tych najoświecenijszych, znajdzie tu rzeczy nowe, i nieraz zdziwi się, że tak często przeciwko tym wskazaniom wykracza.

Warto, aby te książeczki stały się przedmiotem jak najbardziej obszernej dyskusji na zebraniach Kół Rodzicielskich, warto, aby dotarły do jak największej liczby rodziców, a dotrzeć mogą, bo są pisane prosto i jasno, niska zaś ich cena nikogo chyba nie powinna odstraszyć.

Biały czy czarny?

Dla większości ludzi pieczywo stanowi podstawę pożywienia. Wszystkie pokarmy się nudzą, a chleb mimo, że jemy go przez całe życie, jakoś nie brzydnie. Wiemy jak często dzieci grymasne i niechętnie spożywające „zdrowe jarzyny” i mięso wprost rzucają się na chleb, często zaraz po wmuszonym wśród prośb i gróźb obiedzie. Śniadania, które młodzież szkolna zabiera do szkoły również zawierają pieczywo jako część podstawową. Niejedna czy niejeden z nas zastanawia się, jaki chleb jest właściwiej dawać dziecku — biały czy razowy? Wszyscy mówią, że razowy jest znacznie zdrowszy, nawet na zęby dobrze wpływa, różni dziadkowie żyjący po sto i więcej lat, pytani jaką zachowywali dietę, podają, że przez całe życie odżywiali się głównie chlebem razowym i zsiadłym mlekiem. Troskliwe mamusie co prędzej zaczynają stosować swoim pociechom obfite porcje czarnego chleba, mimo że czasem dziecko broni się nawet przed tym, dowodząc, że chleb taki mniej mu smakuje albo, że już się znudził. Warto zastanowić się nad rolą i wartością odżywczą obu rodzajów chleba: białego i czarnego.

Właśnie w Nr 2 dwutygodnika „Pani domu” z dn. 16 stycznia br. znajdujemy interesujący artykuł na ten temat dr. Marty Tomankowej. Autorka wyjaśnia budowę ziarna zbożowego (łuska, jądro i zarodek), oraz jego skład chemiczny (białko, woda, węglowodany, drzewnik, tłuszcz, sole mineralne i witaminy). Łuska ziarna zbożowego zbudowana jest z drzewnika, którego główną część składową stanowi celuloza, zupełnie niestrawna dla organizmu ludzkiego. Jednakże w łuskach znajdują się witaminy i związki mineralne, a tuż pod nimi białko nagromadzone tu w największej ilości. Ponieważ chleb biały przyrządza się z mąki bardzo dokładnie oczyszczonej, a więc łuski posiadające wyżej wymienione składniki odpadają z niej idąc na otręby. Przy przygotowywaniu mąki razowej nie ma oddzielania otręb, to też chleb razowy zawiera witaminy, białko i sole mineralne oraz ową celulozę, których chleb biały nie posiada.

Właśnie przez dużą zawartość celulozy, która prawie zupełnie nie ulega procesom trawiennym, chleb razowy jest trudniej strawny. W dodatku warto wiedzieć, że obecność celulozy przeszkadza w trawieniu innych składników chleba, powodując zbyt dużą fermentację dającą silne wzdęcia. To byłaby wada chleba razowego, dzięki której nadużywanie go lub spożywanie przez osobniki o schorzałym przewodzie pokarmowym może być zupełnie szkodliwe. Jednakże o ile obecność celulozy jest właściwością ujemną chleba razowego, o tyle z drugiej znów strony nie można zapomnieć o kolosalnym znaczeniu odżywczym białka, które zawiera w znacznej ilości, oraz witamin i składników mineralnych. Poza tym praktycznie bardzo ważne jest i to, że dzięki grubości cząsteczek czarnego chleba można z nim zjeść więcej masła czy innego tłuszczu, a po drugie, że tłuszcz ten łatwiej ulegnie strawieniu dzięki większemu wydzielaniu się soków trawiennych, jakie towarzyszy trawieniu chleba razowego.

Jako wniosek autorka wspomnianego artykułu stawia kompromis spożywania mniej więcej równej ilości rodzajów chleba. Wysuwana przez wiele osób zaletę, jakoby chleb razowy specjalnie dobrze działał na zęby, autorka rozciąga i na chleb biały, byle twardy, dobrze wypieczony i silnie żuty. To też dając dziecku śniadanie nie przesadzajmy w rzekomej zdrowotności razowca, pamiętając i o zgubnej roli zawartej w nim celulozy. Może najlepiej dawać dzieciom i „biały i czarny”, gdyż każdy z nich ma inne składniki ważne dla organizmu.

M. Terezińska.

Z PRASY POLSKIEJ.

„Dom i Szkoła”.

W Nr. 2. „Bluszczu” p. Dzieciłowska-Brykalska omawia zagadnienie współpracy domu i szkoły. Współpraca ta powinna przecież polegać na stałym kontakcie, na wzajemnym informowaniu się, na wzajemnej pomocy w sprawach wychowawczych.

Tymczasem jednak „zauważona w rodzinie wada dziecka jest trzymana w ścisłej tajemnicy przed władzami szkolnymi. W wypadku, gdy się ta wada w szkole ujawni i matka zostaje wezwana do szkoły, matka „broni dziecka, niejednokrotnie wbrew przekonaniu”.

Nikomui — piszę autorka — nie chodziło o istotne i zasadnicze dobro dziecka. Obie strony są zadowolone, gdy incydent nie powtórzył się, stopień został uratowany.

Autorka twierdzi, że takiej wadliwej formie współpracy winna jest raczej szkoła, jako więcej kompetentna.

„W razie, gdy żadne okoliczności nie zmuszą do osobistej interwencji rodziców w szkole lub odwrotnie, jedynym terenem zetknięcia się tych dwóch władz wychowawczych są t.zw. „wywiadówki”, które cechuje tłok, pośpiech, zdenerwowanie. Zły uczeń szybko zostaje zdyskwalifikowany, o dobrym uczniu jeszcze mniej jest do powiedzenia. Czasem spotyka się matka z wyrokiem: nic z niego nie będzie. I nikt nie sądzi, że tu komuś odebrano odwagę i nadzieję, że w kimś zabito ambicję i że postępek ten tylko zbiegiem okoliczności nie podpada pod paragraf kodeksu.

Nie tak wyglądać musi współpraca szkoły z domem. Dom nie może pełnić roli adwokata, a szkoła prokuratora czy sędziego. Muszą nawet pełnić role odwrotne, gdy dobro dziecka tego wymaga.

Ale dla tak pojętej współpracy szerokiej, głębokiej i rzeczywistej nie może być w klasie 60-ciu uczniów, a nauczyciel nie może być do ostatka wyczerpany”.

Autorka zapytuje „co dla wychowawczej współpracy robią Komitety Rodzicielskie”? Zaiste, smutna odpowiedź — nic lub prawie nic.

Komitety budują gmachy... kompletują inwentarz, dożywiają i ubierają ubogich uczniów. Autorka stwierdza, nie krytykując tej działalności, że jest ona w każdym razie jednostronna.

„Z punktu widzenia racji stanu idei wychowania młodzieży w Polsce, Komitety Rodzicielskie powinny być *powołane do współpracy pedagogicznej ze szkołą*”.

Nie wiemy czy i w jakim stopniu autorką stykała się bezpośrednio z pracą Kół Rodzicielskich, w każdym razie jednak głos ten jest niewątpliwie echem pewnego i to dość poważnego odłamku naszej rzeczywistości szkolnej, gdzie współpraca wychowawcza rodziców albo wogóle nie istnieje, albo jeśli istnieje, to co najwyżej na papierze, w rzeczywistości zaś praca Koła ogranicza się do działalności dochodowo-charytatywnej.

Niestety, nietylko szkołę tu winić należy, ale i brak zainteresowania zagadnieniami wychowawczymi ze strony rodziców, wśród których nieliczne zaledwie jednostki odczuwają potrzebę współpracy wychowawczej ze szkołą. Pamiętać zresztą należy i o tym, że potrzebę tę odczuwają tylko tacy rodzice, którzy się interesują wychowaniem, psychiką dziecka, którzy dążą do pogłębiania i rozszerzania swej wiedzy wychowawczej. Tylko tacy rodzice będą wiedzieli, co mogą zyskać w kontakcie ze szkołą i czego sami od niej mogą wymagać.

Więcej opieki nad młodzieżą szkolną!

W „Dobrym Wieczorze” z dn. 10.II. znajdujemy list czytelnika o zaczepianiu artystów, z prośbami o autografy, przez młode panienki z gimnazjum, po szkolnym przedstawieniu w teatrze. Podobno ta natarczywość zbieraczek „fotek” i autografów stała się wręcz plagą, na którą użalają się artyści, zarówno teatralni jak i filmowi. Autor tej wzmianki słusznie upomina się o wzmożoną opiekę nad młodzieżą.

Inny czytelnik „Dobrego Wieczoru”, w liście z dn. 12 lutego br. pisze znów o zachowaniu się młodzieży szkolnej w Pruszkowie, w parku, w kinie, na ślizgawce, na ulicy, nawet w czytelnicy. Okazuje się, że nie tylko w wielkich miastach jest źle, ale i w mniejszych miasteczkach bywa nie lepiej.

A w „Wieczorze Warszawskim” z dn. 5.II. br., znajdujemy wzmiankę o piętnastoletnim młodzieńcu, uczniu szkoły powszechnej, który na przedstawieniu teatralnym w Mokotowie, strzelał z procy do artystów, i tłumaczył się, że czyni to „dla wyrobienia sobie oka”. Obiecujący ten młodzian zapewne kształcił się na „Karuzeli” i pokrewnych pisemkach, gdzie opisywano kiedyś takie właśnie igraszki uczniów, którzy z okien szkoły strzelali z procy do przechodzących nauczycieli.

Czas, żeby rodzice dobrej woli zorganizowali się, aby we współpracy ze szkołą zapewnić młodzieży rozrywki godziwe i pod należytą opieką. Inicjatywa jednostek, ich dobra wola, mogłyby wiele zdziałać na tym polu.

Czy będzie matura po liceum?

Zagadnienie to stanie się dopiero aktualne za półtora roku, ale już zaczyna budzić zainteresowanie, jak o tym świadczy artykuł, zamieszczony w „Przeglądzie Pedagogicznym” z dn. 1-go lutego br.

Autor artykułu oświadcza się za egzaminem końcowym, ze względu na to, że do liceum napływa materiał bardzo niejednorodny pod względem poziomu wiedzy. Byłoby rzeczą ciekawą usłyszeć co w tym przedmiocie myśli ogół rodziców.

W związku z kwestią matur wylania się również pytanie, co będzie z kandydatami do szkół wyższych, którzy dopiero jako pełnoletni zechcą zdobywać wiedzę akademicką. Czy dla nich wszelkie drogi w tym kierunku będą zamknięte? Dziś otwiera je możliwość zdawać matury w charakterze eksternów, ale możliwość ta skończy się w 1940 r. Co wtedy?

Nic się nie zmieniło!

W „Kurierze Polskim” z dn. 26.II. br., znajdujemy następujące rozważania, zaczerpnięte z jednego z dzienników francuskich:

„Wkrótce wkroczymy w piąty krzyżyk naszego wieku. Co nam gotuje? Jakie perspektywy odsłania przed oczami naszego ducha? Niestety, nic pocieszającego nie widać na horyzoncie. Europa, wyczerpana i znużona, napróżno poszukuje dróg, na których można by zapomnieć o niedawnych, krwawych wstrząsach... R o z k ł a d r o d z i n y, n i e b y w a ł y u p a d e k i z d z i c z e n i e o b y c z a j ó w, z a n i k w i a r y, o t o c o c h a r a k t e r y z u j e n a s z ą e p o k ę. M ł o d z i e ż s t r o n i o d p r a c y, w o l i b a w i ć s i ę i t a ń c z y ć. M y ś ł z w r ó c o n a j e s t k u w y n a l a z k o m t e c h n i c z n y m, r o z w ó j t e c h n i k i d o s i ę g n ą ł m o n s t r u a l n y c h i z a i s t e o s t a t n i c h g r a n i c...”

Gazetą francuską, która to pisze jest „Journal des Débats”, z przed stu lat! Z lutego 1837 roku!

To jest pocieszające. Już i wtedy narzekano na zepsucie młodzieży, na upadek rodziny. Ale rodzina jakoś trwa, i nawet przetrwała kampanię antyrodzinną w Sowietach. Okazała się czynnikiem mocniejszym i żywotniejszym, niż wszelkie przełomy i dezorientacje w jakie wpada psychika ludzka, niezdolna do dotrzymania kroku przemianom dziejowym i przekształcaniu się życia naskutek zdobycy techniki.

Rodzina wszystkie te przemiany przetrwa zwycięsko, jest bowiem wbrew krytyce niechętnych, podstawową formą ludzkiego współżycia, tłem niezbędnym dla rozwoju i kształtowania się jednostki. Może i musi przybrać inne formy, przystosowane do okoliczności, ale że wykwitła z najgłębszej potrzeby ludzkiego serca, nic jej rozbić i zburzyć nie zdoła.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

System egzaminacyjny w Szwecji.

Ostatni kwartalny biuletyn Międzynarodowej Federacji Współpracy Domu i Szkoły poświęca bardzo ciekawy artykuł systemowi egzaminów w Szwecji. Autor artykułu G. L. Proctor, jest członkiem szwedzkiego Ministerstwa Oświaty. Stwierdza on, że nauczanie w Szwecji jest niemal wyłącznie państwowe. Szwedzi mogą być uważani za jeden z najoświecieńszych narodów europejskich.

Szkół prywatnych jest tu niewiele, a ich uczniowie rekrutują się spośród jednostek, które nie mogą się przystosować do normalnej pracy szkolnej.

Szkoła państwowa zorganizowana jest na zasadach jak najbardziej demokratycznych,

które dają równą szansę kształcenia się każdej zdolnej jednostce. Szwed ma wrodzoną awersję do wszelkich przywilejów, zarówno w życiu szkolnym jak i zawodowym. Kandydat na każde stanowisko wie tutaj, że wszystko będzie zależało od tego, jakie świadectwo szkolne okaże.

Najważniejszym, ostatecznym egzaminem, jest tzw. „Studentexamen”, odpowiadający naszej maturze. Kandydaci liczą od 19 — 20 lat. Egzamin ten daje dostęp do wyższych studiów w szkołach akademickich, do armii i marynarki, do wszystkich lepszych posad w handlu, przemyśle i administracji. Stanowi on jedyną do nich drogę, i to niepewną, bo każda ze szkół wyższych wymaga najwyższego stopnia z pewnych grup przedmiotów, tak że matura, pozwalająca na wstęp, np. do szkoły dentystycznej, nie da już prawa wstępu do szkoły wyższej innego typu.

Konkurencja jest olbrzymia, co sprawia, że wymagania poszczególnych instytucji stają się coraz wyższe.

To też praca uczniów w ciągu ostatnich paru lat szkoły odbywa się w atmosferze coraz większego napięcia, coraz cięższego niepokoju. Chłopiec, który wie, że cała jego przyszłość zależy od tych paru godzin pracy piśmiennej i od kilku ustnych odpowiedzi, walczy do upadłego, aby się utrzymać na odpowiednim poziomie.

Nic też dziwnego, że takie przedmioty nadobowiązkowe, jak śpiew i muzyka, bywają najzupełniej zarzucane przez młodzież klas wyższych. Nawet ćwiczenia fizyczne przestają obowiązywać w ostatnim okresie przedegzaminacyjnym, od Bożego Narodzenia do czerwca.

W wyższych klasach szkoła ma już za jedyne zadanie przygotować uczniów do egzaminów. Młodzież w Szwecji ma niewiele czasu na rozrywki, na kulturę indywidualnych upodobań, na rozmyślania, w ogóle na to, żeby ż y ć.

Praca w szkole trwa od 7.45 do 15.20. Praca domowa w klasach starszych staje się istną udręką. Młodzież pracuje najczęściej do późnych godzin, aby jej sprostać.

W dniu egzaminu cała rodzina gromadzi się przed głównym wejściem szkoły, aby powitać kandydata, zgodnie z tradycją, kwiatami oraz białą czapką studencką. Młody triumfator przeżywa moment radosny. Ci zaś, którym się egzamin nie powiódł, wymykają się tylnym wyjściem i bocznymi uliczkami wędrują do domu, byleby nie spotkać wyczekującej rodziny. Oto zmosfera, która dręczy szwedzkiego maturzystę i stanowi bodziec do uporczywej pracy.

Autor artykułu twierdzi jednak, że ten system ma swoje dobre strony. Zmusza on młodzież do zdobycia gruntownej wiedzy. Młody Szwed, oprócz ojczystego, uczy się trzech języków nowożytnych, angielskiego, francuskiego i niemieckiego, a oprócz tego również i języków klasycznych, o ile jest w szkole humanistycznej.

Szwedzi uważają, że system ten daje najlepszą selekcję uzdolnień, wolną od wszelkich względów ubocznych, jak urodzenie i sytuacja materialna. W każdym razie, cudzoziemiec, który zetknął się dostatecznie z tutejszym życiem, może stwierdzić, że specjaliści szwedzcy we wszelkich dziedzinach, choćby np. w technice, czy też w medycynie, są sprawni, kompetentni i sumienni, i w sposób naprawdę godny uznania utrzymują się na poziomie najnowszych zdobyczy wiedzy w swojej specjalności.

Szwedzi są zadowoleni ze swego systemu egzaminacyjnego i nie pragnęliby zamienić się np. z Anglią, gdzie większość wyższych stanowisk w armii i polityce przypada wychowankom kilku uprzywilejowanych szkół, a kariera w banku nieraz zależy od dobrej gry w golfa, czy w bridge'a, lub od przynależenia do zwycięskiej ekipy wioślarskiej.

Nauka szycia w męskich szkołach w Anglii.

Jak donoszą dzienniki angielskie od przyszłego roku szkolnego wprowadzona będzie we wszystkich szkołach angielskich nauka szycia. Władze szkolne doszły do wniosku, że zbyt wielu mężczyzn nie umie sobie dać rady nawet z przyszyciem guzika, ta też szkoła winna zawczasu przygotować chłopców do tego, aby i w tych sprawach stali się samodzielni.

Ciekawa rzecz, czy inne kraje pójdą za przykładem Anglii.

Jak mój synek mnie wychował?

W styczniowym numerze „Practical Housekeeping” Cora Miley pisze jak intensywnie wespółzycie z rozwijającym się dzieckiem przyczyniło się do jej własnego rozwoju.

Była sama przed wyjściem za mąż nauczycielką i postanowiła przelać na dziecko całą swoją wiedzę i umiejętność nauczania.

Chłopczyk rozwijał się doskonale, był dzieckiem łatwym i pogodnym, w jednej tylko rzeczy przeciwstawił się matce: nie dał się jej kształcić i pouczać. Szedł za własnymi tylko zainteresowaniami, a wszystko, co matka mu podsuwała, odrzucał. Matka nauczyła się obserwować rozwijający się własnymi drogami umysł, odpowiadać tylko na te pytania, które mały sam stawiał, a które pojawiały się nagle, w momentach jak najbardziej niespodziewanych.

Synek pchnął matkę na wielką podróż eksploratorską w dziedzinie nauk przyrodniczych, historii i geografii.

Podczas lata studiowali razem wielką księgę natury. Uczyli się od ptasząt, od skał i drzew. Matka nauczyła się w tym okresie nie mniej od syna.

I nie sami byli w tej wędrówce. Rodzice oboje nie chcieli, aby wychowanie syna spoczywało wyłącznie w rękach matki. Ojciec wykształcił się na instruktora harcerskiego, a mały zaciągnął się do zuchów.

„Wielcy nauczyciele twierdzą, że oni tylko pobudzają ciekawość umysłową uczniów, a ci uczą się sami. Żaden z moich nauczycieli tak nie pobudził moich zainteresowań intelektualnych jak ten mój mały synek”.

To ożywienie się zainteresowań pozwoliło matce na zachowanie zapału i chęci do dalszego kształcenia się i rozwoju, nawet teraz, kiedy już jest po czterdziestce, w wieku, kiedy tyle kobiet zaczyna odczuwać ciężar życia i pustkę w w sercu.

AMERYKAŃSKI HUMOR DZIECIĘCY.

Ojciec pokazuje synkowi jak kurczęta wylęgają się z jajek: — Czy to nie nadzwyczajne, jak to one wydobywają się z tej skorupki.

— A mnie ciekawi — oświadczył pięcioletni Bob — jak się one w ogóle tam dostały?

*

Sześćioletni Jimmy, nie chce się sam myć i ubierać.

— Czas już, żebyś się nauczył sam sobie radzić, — perswaduje mama, — przecież nie zawsze będziesz miał przy sobie mamusię, która ci będzie pomagała.

— A co ty myślisz, mamusiu, że ja nie będę miał żony? — pyta Jimmy.

*

Rodzice wybierają się na obiad do znajomych.

Mała Betty zajęła miejsce mamy przy stole.

— Teraz ja jestem mamusia — oświadcza. A ty, — dodaje, zwracając się do braciszka, — siadaj tam (wskazuje miejsce ojca). Ty jesteś tatuś.

O, tak. A teraz, kłóćmy się!

*

Bill był po raz pierwszy w kinie.

— Wiesz, mamusiu, — oświadczył. Nigdy nie chciałbym być aktorem filmowym.

— Dlaczego?

— Bo taki to wcale nie ma kiedy być sobą!

*

Mamusia, wchodząc do mieszkania, usłyszała jak sześciolatnia Dorothy na cały głos krzyczy na braciszka, który siedzi cicho ze spuszczoną głową.

— Jak ty możesz tak się złościć, — oburza się mama, — patrz jak Jimmie grzecznie siedzi!

— Nic dziwnego. Bo przecież ja jestem tobą, a on tatusiem, który późno wrócił do domu.

*

Czy twoja maleńka siostrzyczka już umie mówić? — spytał małego Ernesta ktoś z gości.

— A na co jej to potrzebne? Wystarczy, żeby zaczęła wrzeszczeć na cały głos, a i tak jej dadzą wszystko, czego chce!

*

Joan była bardzo niegrzeczna. Mama odesłała ją do dziecinnego pokoju, żeby się tam uspokoiła i zastanowiła trochę.

Po chwili mała wychodzi zadowolona i uśmiechnięta. Zmówiłam pacierz — oświadczyła.

— Ślicznie, — pochwaliła ją mama. Teraz ci Pan Bóg dopomoże, żebyś była grzeczna.

— Wcale nie o to Go prosiłam — odpowiada Joan. Prosiłam Go, żeby was nauczył być grzecznymi ze mną!

*

Siedmioletni John, wraca z mamą od dentysty.

— Boli jeszcze ząb? — pyta ojciec.

— Nie wiem, — odpowiada mały, — został u dentysty.

*

Szary kotek Klarczi uciekł i nigdy nie wrócił. Klarcia była niepocieszona.

W tydzień później, w wielki deszcz, na ścieżce w ogrodzie, ukazał się jakiś rudy kociak, tego mniej więcej wzrostu, co zaginiony.

Klarcia wybiegła do niego na ganek. — O mój drogi kiciu! — zawołała, — to ty tak zardzewiałeś na tym paskudnym deszczu!

*

Dzieci rozmawiają o tym, które w jakim szpitalu się urodziło. Jedna pięcioletnia Betty milczy.

— A ty Betty, — w jakim szpitalu się urodziłaś? — pyta któreś z dzieci.

— Ach, ona to taki zwyczajny, domowy wyrób, — odpowiada za nią siedmioletni braciszek.

*

Czteroletni Raymond po raz pierwszy jest na wsi. Po raz pierwszy usłyszał gąkanie kury.

— O, mamusiu! Kura ma czkawkę! — zawołał.

RODZINA I DZIECKO

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WYCHOWANIA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ ORAZ WSPÓŁPRACY
DOMU I SZKOŁY

Redaktor i Wydawca: J A N I N A R E N D Z N E R O W A

Prenumerata wynosi: kwartalnie (3 zeszyty) — zł. 2.40
rocznie (10 zeszytów) — zł. 7.50

PRENUMERATA ULGOWA DLA KÓŁ RODZICIELSKICH

opłacających prenumeratę zbiorową
od 10 egz. miesięcznie — 70 gr. za egz.
od 20 egz. miesięcznie — 60 gr. za egz.

Cena numeru pojedynczego 1 zł.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Zakopiańska 31, tel. 10.05.11

(godz. 8 — 10 i 16 — 17). Konto P. K. O. 14020

Konto pocztowe do przekazów rozrachunkowych 732

Zgłoszenia osobiste w sprawach redakcji i administracji
Świętokrzyska 30 m. 8, tel. 6.40-53, w poniedziałki, środy
i piątki w godz. 13 — 14

Prenumeratę przyjmują również wszystkie większe księgarnie.

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca; prace
winny być pisane na maszynie na jednej stronie arkusza

